

NR 39
maj-czerwiec
2002

aleje 3

**DWUMIĘSIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**

ISSN 1427-8812 CENA 1,50 ZŁ



W NUMERZE:

Gieryski o Różwiczu * N. Hurnik o Gawrońskim * Kmita o życiu na wodzie * Nowacka o native speakers



Fotografie – Jerzy Piwowarski, również okładka.



SPIS TREŚCI

z perspektywy blazna	4
ze sztuką na ty	7
muzyka	8
obserwacje	10
reportaż	12
podróż w czasie	14
podróż w przestrzeni	16
historia literatury	20
poezja	23
zapiski o świcie	25
recenzja	27
z miasta	29
proza	32
galeria	34

aleje 3

DWUMIĘSIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny

KRYSZTOF PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta

ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
http://www.emediapro.com.pl

DRUK

DRUKARNIA KEMOT

Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄCRedakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

WDOBIE INFORMATYCZNYCH CACEK i internetowego życia towarzyskiego z wielką radością zauważam zjawisko odwrotne. Wielka fala zainteresowania średniowieczem ogarnęła w końcu i Polskę, chociaż w tej dziedzinie mamy niemały dorobek. Mam na myśli fenomen literatury fantasy i całej otoczki z nią związanej (gry, fancluby, prasa). Renesans tej tematyki na Zachodzie datuje się na lata sześćdziesiąte ub. wieku, w Polsce na koniec lat osiemdziesiątych, kiedy swoją sagę o Wiedźminie zaczął publikować Andrzej Sapkowski. Dzisiejsze zainteresowanie czarami, magią, zabobonem różni się oczywiście od tego, które mieliśmy w okresie romantyzmu (przez lata wmawiano nam, że to folklor ludowy), kiedy to Słowacki pisał „Balladynę”, a Mickiewicz „Świteziankę”. Różnica jest na pewno w formie – wówczas pisano dramaty i ballady, dzisiaj powieści – treść też uległa zasadniczej przemianie. Świat fantasy zaroił się herosami na wzór supermanów. Reguły są zwykle jasne – walka dobra ze złem, a z mitów i legend celtyckich, germańskich, ruskich, greckich, perskich, hinduskich, żydowskich można korzystać dowolnie, dobierając z każdego starożytnego eposu po elemencie. Przedstawiony w nich świat nie przypomina już konkretnego, ogólnie znanego średniowiecza, gdyż autorzy kreują nowe niehistoryczne światy (których nigdy nie było) sprzed czasów atlantydzkich. Panuje tam niczym nie skrzepowana, wolna wyobraźnia, pod warunkiem, że ktoś rzuci czary, ktoś dobrze włada mieczem, biegają różne potwory, a w sferze religii panuje ciemne, dawno wymarłe pogaństwo. Ludzie też nie zawsze są tam jedynymi hominidami, bo obok nich latają elfy, biegają krasnoludy, gnomy, strzygi, gobliny i inne stworzonka. Z plejady autorów uprawiających ten poczynny gatunek można już skleić porządny słownik, a może i dwa. „Hobbit” J.R.R. Tolkiena od kilku lat jest lekturą szkolną w Polsce. Podobnie w komiksie – „Thorgal” naszego rodaka G. Rosińskiego jest najpopularniejszą serią komiksową w Europie, bijąc na głowę Batmana, kaczo-Donald i wszelką inną disneylandzką papkę. W Szwajcarii jego bohaterowi postawiono nawet pomnik.

Zastanawiam się dlaczego akurat teraz tak nam tęskno do wieków średnich? Czy mamy dosyć postępu technicznego? Czy świat pędzącego za zyskiem marketingu, komputerów, genetyki jest nudny, męczący, a zarazem niepokojąco niebezpieczny? Czy świat stał się tak nowoczesny, że pragniemy powrotu do korzeni, punktu z którego wyszliśmy? A może mamy dosyć swoich własnych narodowych mitologii

historycznych i z przyjemnością taplamy się w łatwo przyswajalnym bajorku mitów świata, chłonąc egzotykę, odnajdując elementy rodzime, czując się spadkobiercą ogólnoświatowego okultyzmu? Nie oszukujmy się – nasza narodowa mitologia z Rzeczpospolitą szlachecką, rozbiarami, powstaniem i liberum veto będzie musiała odejść w cień w momencie wejścia do Unii, gdzie takie tradycjonalistyczne sentymenty nie są mile widziane przez pragmatycznych ekonomistów. Świat fantasy też nie jest romantyczny... Kto pamięta A. Schwarzeneggera w roli Conana Barbarzyńcy, wie o co chodzi. Tam zawsze toczy się walka, w której wygrywa silniejszy albo sprytniejszy (czasami fajtłapa). Magii średniowiecza uległ włoski literaturoznawca Umberto Eco, który w kolejnej książce pt. „Baudolino”, kreśląc świat czasów cesarza Barbarossy, chętnie ucieka w bajania i rojenia o niezbadanych krainach na końcu świata, gdzie wszystko jest możliwe. Psychika człowieka średniowiecznego jest z pewnością pociągająca, gdyż ten nie wiedział jeszcze nic o planecie Ziemia ani o prawach nauki. Stojąc dopiero przed wszystkimi odkryciami był nieskazony cywilizacją. Był barbarzyńcą kierującym się dogmatami scholastyki w naiwny sposób. Czyżbyśmy mieli przesyt wiedzy o sobie, swojej psychice, egzystencji i ewolucji? Odzywa się w nas pitekantrop?

Można długo stawiać pytania o przyczyny popularności „ciemnej” fantastyki w ostatnich kilkunastu latach, lecz jedną z odpowiedzi będzie stan ogólnej kondycji ludzkiej na przełomie wieków, chyba nie najlepszy. Dzisiejsi mieszkańcy zwarowanych społeczeństw potrzebują nowych herosów i chyba nie do końca odpowiada im mieszczański styl życia. Sam znam ludzi, którzy w domowych warsztatach klepią zbroje, miecze, tarcze, hełmy, wyrabiają łuki i proce, by paradować w nich na różnych zlotach – przeważnie na zamkach (tego nam w okolicach nie brakuje) albo na górach uznawanych przez pogan za święte. Podobnie jest ze starymi recepturami kulinarnymi, rzemieślniczymi, aptekarskimi. Na łamach prasy naukowej w dalszym ciągu trwa rehabilitacja spalonych czarownic. Hoffman kreci „Starą baśń”... Przyjemny bakcyl z tej fantastyki...■

Sławomir Burszewski

P. S. Zainteresowanym polecam lekturę „Rękopisu znalezionej w smoczjej jamie” Andrzeja Sapkowskiego. To najobszerniejsze kompendium wiedzy na temat fantasy wydane dotąd w Polsce.



Gazeta Wyborcza z 9.04. br. w dodatku lokalnym informuje, że – jak wynika z badań Instytutu Pedagogiki Społecznej Wyższej Szkoły Pedagogicznej – 68% młodych częstochowian nie lubi swojego miasta. W przytoczonej dyskusji internetowej przeważały negatywne opinie młodych, zaś obok zamieszczono wypowiedzi starszych mieszkańców, którzy niezadowolone młodzieży kwitowali uwagami dającymi się streścić porzekadłem: wszędzie dobrze gdzie nas nie ma. Skojarzyło mi się to z kilkoma faktami i rozmowami z mniej lub bardziej odległej przeszłości. Przez lata pracy w naszym Teatrze spotykałem wielu przyjezdnych artystów. Szczególnie ci z nich, którzy dysponowali silną osobowością i ogromną wrażliwością, często bardzo nieśmiało i nie dowierzając sobie formułowali uwagi o specyfice Częstochowy. Denerwowało mnie, że z tych uwag wylaniał się obraz społeczności o bardzo plastycznej (żeby nie powiedzieć gumowej) etyce i dużych niedociągnięciach w zakresie szacunku we wzajemnych kontaktach. Denerwowało mnie to tym bardziej, że opinie te formułowali ludzie ze wszechmiar zasługujący na miano artysty – osoby, które, nie tylko dla mnie, były autorytetami zawodowymi i moralnymi. Denerwowało mnie to również dlatego, że jestem związany z tym miastem i choć nie urodziłem się tu, to czuję się częstochowianinem. Dlatego stawiałem opór moim zacnym rozmówcom, przywołując argumentację dającą się streścić wyżej wymienionym porzekadłem. Twierdziłem, że brak niezależnego życia kulturalnego nie jest częstochowskim wynalazkiem i dotyka wielu podobnych ośrodków. Wierzyłem, że „załatwianie” wszystkiego – od miejsca w przedszkolu do łóżka w szpitalu – to ogólnopolski spadek po okresie real socjalizmu, a łapówkarstwo w zawodach, od których tradycyjnie powinno się wymagać szczególnej uczciwości, to również wynik wieloletnich zaniedbań i otwartej demoralizacji poprzedniego ustroju społeczno-politycznego i jako zjawisko powszechne i powszednie mieści się w granicach błędu w średniej krajowej. Nieuprzejmość w sklepach i urzędach to wynik przepracowania, zmęczenia itd., itp... Delikatne zdziwienie w oczach interlokutora dawało znać, że nie uda mi się go przekonać albo, że zaczynam bredzić, co na jedno wychodzi.

Oczywiście ta różnica zdań nie wywoływała otwartej wrogości, lecz dawała mi, przyznając, do myślenia. Zastanawiałem się również głęboko, kiedy dowiadywałem się, że ten czy ów uznany

artysta nie przyznawał się do swych częstochowskich korzeni. Denerwowały mnie wyżej opisane fakty i opinie, ale nie spędzały mi snu z powiekiem i robiłem swoje.

W połowie ostatniej dekady ubiegłego stulecia i tysiąclecia zrezygnowałem z pracy w Teatrze i rozpocząłem peregrynację po kraju. Odwiedzałem mniejsze i większe ośrodki kulturalne, starając się poznać miejscowe środowiska artystyczne. Pojawiała się okazja do porównań i spojrzenia na Częstochowę z perspektywy. Nadarzała się także sposobność weryfikacji wyżej przytoczonych opinii przyjezdnych artystów o naszym grodzie. Rzeczywistość przerosła opisy. To nie złudzenie, że poziom chamstwa w usługach i urzędach (choć ostatnio mocno niwelowany przez rynek – pracodawcy zauważyli, że uprzejma obsługa zwiększa obrót i zyski) przewyższa średnią krajową. Było mi przykro słuchać gdzieś w Polsce negatywnych opinii wyrażanych przez przedstawicieli zawodów tradycyjnie związanych z wysokim morale o ich częstochowskich odpowiednikach. Porównanie zaś życia kulturalnego naszego miasta z życiem podobnych ośrodków jest trudne do opisanego. Wielkość i prestiż propozycji kulturalnych naszego grodu (od zespołu „Częstochowa” przez bogactwo działalności chóralnej, Teatr, Filharmonię, Scenę Operową do Festiwalu „Gaude Mater”) stawia go w rzędzie wielkich ośrodków, lecz atomizacja środowiska i prawie całkowity brak aktualnych treści daje obraz pustyni kulturalnej niegodnej nawet miana powiatu. Oportunizm i hipokryzja zamiast prawdy i odwagi w formułowaniu poglądów to norma życia kulturalnego. Wszechobecna niewiara w możliwość otwartej rozmowy owocuje postawami nihilistycznymi i autodestrukcyjnymi u szczególnie wrażliwych artystów i twórców. Ta postawa udziela się również odbiorcom, którzy nie wierzą, że ze słowem kultura może być związana otwarta rozmowa o sprawach bliskich, ważnych dzisiaj, ważnych dla każdego, a jej uczestnicy w pewnym momencie nie schowają się za pięknie brzmiącymi sloganami. Nie wierząc w możliwość szczerości i uczciwości w kulturze, odbiorcy zaczynają żądać od niej jedynie rozrywki. Wszystko to potęguje poczucie frustracji artystów i twórców.

Nie dziwię się młodzieży, która wykazuje awersję do własnego miasta. Myślę, że nie brak perspektyw (w całym kraju jednaki lub podobny), lecz brak prawdy życia publicznego, niedocenywanie osobowości w kulturze, a w rezultacie brak życia kulturalnego, powoduje taki stan rzeczy.

Fakty są faktami i ich przyjęcie do wiadomości to nasz – bardzo bolesny, ale jednak obowiązek. Obowiązek każdego patrzącego w przyszłość częstochowianina, a w szczególności członków elit intelektualnych. Bagatelizowanie tak wymownych wyników badań naukowych uważam za hipokryzję i przyznanie się do winy. Przyjęcie do wiadomości nie równa się jednak akceptacji rozumianej jako milczące pogodzenie się. Przyjęcie do wiadomości wyników ankiety Instytutu Pedagogiki Społecznej WSP powinno być dla nas wszystkich impulsem do dyskusji i to nie o tym, czy i jak pozbyć się, lub zbyć owe 68% niezadowolonych, lecz o tym jak i nad czym pracować, aby te smutne fakty zmienić. Nie bez kozery użyłem zwrotu „nad czym”, gdyż podejrzewam, że w nas wszystkich – uczestnikach życia kulturalnego – tkwią powody takiego stanu rzeczy i właściwie należałoby zacząć od pracy nad sobą. Powody te to, najczęściej mało uświadomione, lub przejęte bezkrytycznie hierarchie ocen i wartości, które nie zdają – w dzisiejszych, szybko zmieniających się warunkach – egzaminu. Przykładem niech będzie tendencja do wiązania sztuki z rzemiosłem, a nie z osobowością, tendencja, o której piszę oddzielnie.

Nie rozgrzeszam siebie samego tym pisanem i nie zwalnam się z odpowiedzialności i obowiązku pracy nad sobą. Ciągłe patrzę sobie na ręce i możliwie krytycznie staram się dociekać czy wśród motywów moich działań, rozmów, ocen nie pojawiają się: niewiara, brak odwagi, lęki egzystencjalne (często zmuszające artystów do zbyt daleko idących kompromisów). Czy nie używam małostkowego podziału na „nas” – dobrych i „ich” – złych? Już słyszę cyniczne uwagi: „Jak to ten Kmieciak się gloryfikuje! Jaki to on uczciwy!” Otóż nie. Nie uważam, że ciągle patrzę sobie na ręce do czegoś prowadzi, nie gwarantuje w każdym razie rozwoju i w żadnym razie nie jest powodem do dumy, a raczej świadczy o lęku przed samym sobą. Permanentna samokontrola nie jest środkiem wystarczającym. Jak już kiedyś pisałem, wierzę w twierdzenia psychologów o ułomności introspekcji w procesie poznania własnej osobowości. Najlepiej i najgłębiej bowiem poznajemy siebie przez drugiego człowieka. Wiem zatem, że bez rozmowy, otwartej rozmowy, nie jestem w stanie siebie prawdziwie poznać, a tym bardziej zmienić. Stąd tak bardzo potrzebuję spotkań z ludźmi. Spotkań w celu rozmowy – otwartej, uczciwej, dotyczącej istotnych i aktualnych problemów ludzkiej egzystencji. Rozmowy z ludźmi, którzy również chcą roz-

mawiać, a nie tylko propagować swoje, jedynie słuszne, hierarchie wartości. Wierzę w rozmowę. Wierzę w człowieka. Wierzę, że nasze miasto może szybko wyjść na prostą. W młodziźnie nie muszę wierzyć – po prostu wiem, że jest w naszym mieście grupa uczciwych, chcących i potrafiących rozmawiać ze sobą młodych ludzi, którzy pomagają sobie nawzajem w trudnej sztuce samopoznania. Potrzebują tylko silnego, szybkiego i nie tylko finansowego, ale przede wszystkim organizacyjnego wsparcia, aby rozmowa, którą prowadzą mogła zataczać coraz szersze kręgi i wreszcie doprowadzić do tego, że prawdziwe życie kulturalne stanie się w Częstochowie faktem. Rozmawiajmy, nie pozwólmy, żeby kolejna grupa uzdolnionej i aktywnej kulturalnie młodziźnie bezpowrotnie opuściła nasze miasto. Choć jeśli do tego dojdzie to w ten sposób problem rozwiąże się sam.



Fot. Jerzy Piwowarski

PS. Jeżdżąc po kraju zauważyłem, że artyści i twórcy wszędzie narzekają. Narzekają przy piwie w Piwnicy Pod Baranami, w kabarecie „Loch Camelot”, lubelskim „Hadesie”, warszawskich „Harendzie” i „Tygmoncie”, łódzkiej „Przecho-

walni", radomskiej „Łaźni”, katowickich „Gugalandrze”, „Cogitaturze” i „Marcholcie” oraz w innych hojnie dotowanych przez samorządy klubach w Stargardzie Szczecińskim, Gdyni, Gdańsku, Olsztynie, Opolu, Kielcach, Zielonej Górze, Ciechanowie, Opolu itd.

My w Częstochowie też narzekamy, z tym, że w domach.

Ukłony dla Rady Miasta, Zarządu Miasta, Władz Kultury i wszystkich profesjonalnych organizatorów życia kulturalnego.

* * *

Ostatnio miałem okazję wysłuchać kilkudziesięciu młodych osób prezentujących się na scenie przy okazji Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego (w skrócie OKR-u). Nie lubię i nie chcę oceniać wszystkich uczestników takich imprez ogólnie, gdyż uważam, że ze względu na niepowtarzalność osoby występującej na scenie każda prezentacja zasługuje na oddzielne omówienie. Zresztą, nie dla oceny piszę o wzmiankowanej imprezie. Moją refleksję wywołał regulamin OKR, a właściwie jeden punkt poświęcony kryteriom oceny, które autorzy zalecają Sądom Konkursowym. Owe kryteria to: dobór repertuaru, interpretacja utworów, kultura słowa i ogólny wyraz artystyczny. Muszę się przyznać, że moje kryterium oceny działań scenicznych z trudem mieści się w ostatnim punkcie zalecanym przez regulamin. Najbardziej interesuje mnie na scenie osobowość wykonawcy. Jak mam oceniać i wartościować oddzielnie dobór tekstu (oryginalność szczególnie wysoko cenioną przez niektórych „intelektualistów”, świadcząca o długich poszukiwaniach i czytaniu), skoro mocna osobowość nadaje każdemu wykonaniu, choćby najbardziej oklepanego i wyeksploatowanego utworu, pieczęć oryginalności? Jak oceniać oddzielnie interpretację (a szczególnie jej świeżość i oryginalność), skoro osobowość wykonawcy może nadać nawet znanej już interpretacji nowego blasku? Wreszcie osobowość wykonawcy (o ile została na scenie ujawniona) to jedno z ważniejszych wrażeń, jakie pozostają nam po różnego rodzaju imprezach kulturalnych. Zdarza się, że nie pamiętamy autorów utworów prezentowanych na scenie, a silne osobowości pozostają jeszcze długo tematem rozmów i refleksji.

Często powraca do mnie koszmarnie wspomnienie udziału w pracach jury pewnego konkursu recytatorskiego (na szczęście poza Częstochową). Jeden z członków zaproponował

punktowanie wszystkich techniczno-warsztatowych elementów wykonania (dykcja, emisja głosu, gest, artykulacja, użyte środki itp.) w skali od jednego do dziesięciu. Przewodniczący i większość członków propozycję przyjęła, zostałem przegłosowany. Później sekretarz jury przy pomocy kilku prostych działań matematycznych przełożył żywe wykonania sceniczne na rządę liczb. Werdykt był koszmarny. Zauważane przez wszystkich uczestników konkursu osobowości pozostały poza gronem laureatów. Zwyciężyła przeciętność w postaci poprawności warsztatowej. Brakło mi wówczas odwagi do zgłoszenia votum separatum. Wtedy jeszcze nie byłem pewny swych racji, co zresztą wcale mnie nie rozgrzesza. Mea culpa!

Dzisiaj wiem, że wybijająca się osobowość z zaledwie poprawnym warsztatem (warsztatu można i trzeba się nauczyć) to artysta, którego każda publiczność i środowisko kulturalne przyjmuje bez oporów i wręcz pożąda. Zaś mistrz technik scenicznych, muzycznych, literackich, filmowych, plastycznych itp. z przeciętną osobowością to zaledwie rzemieślnik. Dobrych rzemieślników również potrzeba. Jednak to artysta musi decydować o kształcie dzieła, gdyż inaczej będzie ono jak pięknie pomalowana wydmuszka. Zauważyłem, że w wielu środowiskach kulturalnych poza Częstochową taka hierarchia stanowi naturalny porządek rzeczy. Artyści decydują o tym „co” zaś dobrzy rzemieślnicy pomagają im w tym „jak”. Nikt nie czuje się niedoceniony. Nie ma wzajemnych pretensji. Każdy zna swoje miejsce. Praca każdego zostaje zauważona i właściwie oceniona. Wiem i rozumiem, że trudno czasem pogodzić się z faktem, że człowiek, niemal z ulicy, okazuje się bardziej czytelny i komunikatywny dla widza niż ten, który w swój warsztat zainwestował wieloletnie wyrzeczenia i ciężką pracę. Rozumiem gorycz sfrustrowanych wieloletnimi poświęceniami rzemieślników, którzy patrzą jak obok nich przemykają do przodu młodzi, „prawie nic nie umiejący”, zaledwie poprawni, jednak obdarzeni nietuzinkową osobowością artyści. Starajmy się jednak poskromić swą zawiść i niezrealizowane ambicje. Dajmy młodym działać, a wręcz starajmy się im pomagać (nie licząc na ich wdzięczność, bo tylko niektórzy będą w stanie zatrzymać się, aby podziękować). To tylko jeden ze sposobów, dzięki którym możemy spowodować, że życie kulturalne naszego miasta przestanie przypominać bardzo wielką, gigantyczną wprost i bardzo piękną, ale jednak wydmuszkę ■

Tomasz Kmiecik

Ludzie!
Odezwiście się!

REPORTER

NACZELNY

Masz 60 minut na znalezienie tematu do artykułu. Zawsze się spóźniasz, przynosisz teksty na ostatnią chwilę. Przez ciebie cała robota się opóźnia.

DZIENNIKARZ

Ależ szefie, jestem dobry. Cztery lata temu dostałem nagrodę „Wprost”.

NACZELNY

Dzisiaj daję ci ostatnią szansę. Jak nie zdążysz – szukaj innej pracy!

DZIENNIKARZ

Łatwo powiedzieć – 60 minut...

NACZELNY

I zawsze się spóźniasz. Co ty robisz przez pół dnia?! Ruszaj w teren. Znajdź coś na pierwszą stronę.

DZIENNIKARZ

...łatwo powiedzieć – 60 minut. Tutaj nic się nie dzieje. Mam pisać o nowej kostce brukowej na placu, o chorągiewkach na tramwaju albo że piesek uciekł i pokąsał? To takie infantylne i małosłowne.

GŁOS

50 minut.

DZIENNIKARZ

Gdybym był reporterem „National Geographic”! Jeździł po całym świecie z ekipą podróżników, by sfotografować i opisać góry lodowe Antarktydy, walki lwów z hienami w Kenii, buchające wulkany Indonezji albo Papuasów czczących samoloty w Gwinei. O! To by było zajęcie dla mnie... Nie do takich prowincjonauków jestem stworzony. Mógłbym być kumplem Kapuścińskiego...

GŁOS

40 minut.

DZIENNIKARZ

Mógłbym robić wywiady z gwiazdami show biznesu – Polańskim, De Niro, Spielbergiem i Sophią Loren. Tak, w tym towarzystwie czułbym się dobrze. Oni mnie potrzebują. Spisywałbym ostatnie słowa księżnej Diany i rzeźnię Dodiego. Nie mogę się zajmować byle czym. Muszę dbać o swoją markę.

GŁOS

30 minut.

DZIENNIKARZ

Pojutrze przyjdzie komornik i jak nie zapłacę czynszu za pół roku, wywali mnie z mieszkania. I tak już siedzę przy lampie naftowej. Trzeba coś jednak napisać. Potrzeba matką wynalazku.

GŁOS

20 minut.

DZIENNIKARZ

Tam przechodzi przez jezdnię chroma staruszka. Pomogę jej, zagaję i opiszę trudny los inwalidów w mieście.

GŁOS

10 minut.

DZIENNIKARZ

Proszę pani, proszę pani... Ja pomogę...

STARUSZKA

Paszoł won! Poradzę sobie! Taki młody, a głupi! Pewnie złodziej! Złodzieeeej! Ludzie ratunku!

GŁOS

5 minut.

DZIENNIKARZ

dusi staruszkę na przejściu dla pieszych, powstaje korek samochodowy, wyciąga aparat, fotografuje ciało i gapiów

Zdażyłem! Zdażyłem! Mam materiał! Biegnę do redakcji. Szef będzie zadowolony!

NACZELNY

Tak, to jest dobry materiał na pierwszą stronę. Damy wielkie litery: „MORD W ŚRODKU MIASTA”.

DZIENNIKARZ

Może lepiej: „ZNIECZULICA KIEROWCÓW”?

NACZELNY

Faktycznie. Brzmi lepiej. Masz podwyżkę.

(dusi dziennikarza)

Sam zrobiłem cały numer.

Koniec

S. Burszewski



Ewa Burdzicka „Przestrzeń”
II nagroda
na CYBERFOTO,
Częstochowa 2002

„Con Sentimento”

Rozmowa z Robertem Gawrońskim – muzykiem, pracownikiem Instytutu Muzyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie



Jest Pan częstochowianinem i początki pańskiej kariery muzycznej wiążą się z naszym miastem. Naukę gry na fortepianie rozpoczął Pan u prof. Edwarda Mąkoszy – wielkiej osobowości w świecie muzycznym. Proszę opowiedzieć o tych czasach.

Naukę gry na fortepianie rozpocząłem zupełnie przypadkowo. To mój brat, Dariusz, miał być pianistą – ja towarzyszyłem mu tylko na lekcjach u profesora Edwarda Mąkoszy. Widocznie nie byłem biernym uczestnikiem tych spotkań, gdyż profesor zaproponował rodzicom udzielenie lekcji również mnie. Ułatwił im decyzję, ponieważ zaoferował, że będzie uczył mnie gratis. Lekcje u profesora zawsze były dla mnie ważnymi wydarzeniami, gdyż potrafił on zaszczepić miłość do muzyki i zachęcić do nauki gry na fortepianie. Miałem także okazję poznać znajomych Pana profesora, a bywali u niego ludzie kultury naszego miasta. W roku 1972 roku profesor i rodzice skierowali mnie na egzaminy do

Szkoły Muzycznej, które zdałem i trafiłem do klasy Pani profesor Ludomiry Grądzkiej.

Kolejny okres edukacji to lata studiów w Akademii Muzycznej w Poznaniu. Czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów o dwóch środowiskach muzycznych – częstochowskim i poznańskim?

Właściwie można uznać, iż ucząc się w szkole w Częstochowie poznawałem „poznańską szkołę pianistyczną”. Pani profesor Ludomira Grądzka pochodzi z Poznania, tam w Akademii Muzycznej kończyła klasę fortepianu u profesor Olgi Siwickiej-Dąbrowskiej i pracowała na tej uczelni jako asystent. Profesor Andrzej Tatarski, mój kolejny pedagog, również był studentem tej samej uczelni w klasie tej samej znanej i cenionej pianistki.

Miałem szczęście, że trafiłem na wybitnych pedagogów. Dla muzyka jest niezwykle istotne, kto wprowadza go w świat muzyczny, bowiem nie tylko uczy podstawowych umiejętności gry

na instrumencie, ale także ułatwia mu ujawnić jego wrażliwość, kształtuje umiejętność pracy nad utworem, która polega nie tylko na opanowaniu technicznych problemów.

Cieszę się, że naukę mogłem kontynuować w Poznaniu, mieście wielkich muzycznych tradycji: chóralnych, operowych, pedagogicznych. Bogata oferta kulturalna wpłynęła na moją dalszą edukację muzyczną.

Po studiach powrócił Pan do Częstochowy i z tym miastem związał swoje życie zawodowe i rodzinne?

Mimo wielkiej sympatii do Poznania, nigdy nie zamierzałem pozostać w nim na stałe. Po ukończeniu studiów podjąłem pracę w Częstochowie w Wyższej Szkole Pedagogicznej i w Zespole Szkół Muzycznych. Swoją żonę poznałem także dzięki muzyce, oboje uczyliśmy się u profesor Grądzman, a nasza znajomość odnowiła się dzięki wspólnemu śpiewaniu w Chórze Kameralnym Filharmonii Częstochowskiej.

Od kilku lat współpracuje Pan ze znanym koncertmistrzem Michałem Sinielnikowem. Jak wygląda praca w tym zespole?

Już na studiach chętnie grałem muzykę kameralną. Jest to specyficzna dziedzina, wymagająca od muzyków nie tylko równego grania. Trzeba także w podobny sposób odczuwać muzykę, istotna jest kwestia temperamentu i wrażliwości. Dlatego trudno jest trafić na odpowiedniego partnera. Grałem w wielu zespołach kameralnych: w duetach, triach, sekstecie, ale satysfakcję daje mi właśnie praca w duecie z Michałem Sinielnikowem, nie ma między nami rozbieżności co do wizji utworu.

Z kim jeszcze Pan współpracował?

Bardzo cenię sobie występ na Galowym Koncercie w okazji 70-lecia Akademii Muzycznej w Poznaniu, gdzie wspólnie z profesor Grądzman i Orkiestrą Kameralną „Amadeusz” pod kierunkiem Agnieszki Duczmal wykonaliśmy Koncert c-moll J.S. Bacha. Ważnym doświadczeniem były koncerty oraz nagranie płyty z Kwintetem Dętym Filharmonii Częstochowskiej, który tworzą Włodzimierz Gołębiowski, Wojciech Pyda, Mieczysław Hłond, Anna Zmarzły, Marcin Langner, Henryk Iwaniuk, Jerzy Bober, Marek Limanowski.

Często koncertuję w duecie fortepianowym z pianistą i adiunktem Akademii Muzycznej w Łodzi, Cezarym Saneckim. Znamy się od bardzo dawna, razem uczyliśmy się w Szkole Muzycznej w Częstochowie. To z jego inicjatywy powstał nasz zespół, z nim właśnie zacząłem kameralne granie po powrocie z Poznania. Praca z Saneckim daje mi bardzo dużo satysfakcji.

Na ostatnim koncercie w częstochowskim Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” zaprezentował Pan muzykę rosyjską. Czy jest ona Panu szczególnie bliska?

Najbardziej lubię grać muzykę romantyczną, a muzyka rosyjska ma w sobie wiele romantyzmu. Tkwi w niej jakaś słowiańska tęsknota i melancholia, dlatego granie utworów Rachmaninowa, Czajkowskiego daje mi wiele satysfakcji, ale równie chętnie sięgam po utwory Brahmsa, Chopina czy Liszta. Narodowość kompozytora nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Pomyśl na koncert zamówiony do współczesnej muzyki rosyjskiej powstał w czasie naszego pobytu, mojego i Michała Sinielnikowa, na koncertach w Surgucie na Syberii. Zdobyliśmy tam nuty mało znanych a wartych włączenia do repertuaru utworów.

Skąd tytuł płyty duetu Gawroński – Sinielnikow – „Con sentimento”? Czy ma on dla Pana jakieś szczególne znaczenie?

Zastanawialiśmy się, jaki tytuł nadać naszej płycie. Jedna z części sonaty Brahmsa, która znalazła się na płycie ma wskazówkę wykonawczą „con sentimento”. Uznaliśmy, że określenie to pasuje do wszystkich prezentowanych przez nas utworów oraz do tego, jak traktujemy wykonywaną przez nas muzykę.

Jak Pan ocenia życie muzyczne w Częstochowie?

Oferta dla melomanów jest bogata i zróżnicowana, począwszy od Festiwalu „Gaude Mater” po festiwale chóralne, skrzypcowe. Moim marzeniem jako kameralisty jest, by muzyka kameralna, która stanowi przecież ponad połowę światowej literatury muzycznej, częściej gościła na znaczących scenach naszego miasta.

Dziękuję za rozmowę i życzę Panu spełnienia tych marzeń.

Rozmawiała Natalia Hurnik

NIEWOLNICA KORESPONDENCJI

Ludmiła Marjańska

GINĄCA SZTUKA EPISTOLOGRAFII! Tylko nieliczni maniacy pisują jeszcze listy. Należę do nich, chociaż od pewnego czasu czuję, że powinnam zdecydowanie zerwać z tym nałogiem. Duszę się pod lawiną korespondencji, zwłaszcza w święta. Minione Boże Narodzenie upłynęło mi głównie na czytaniu życzeń i krótkich lub dłuższych informacji o stanie zdrowia znajomych i przyjaciół, a także na urządzaniu dorocznej wystawki z kolorowych kart: na półce około czterdziestu większych i bardziej udanych graficznie (według wzrostu i urody), za szybkami biblioteki pojedyncze – te z choinką, świeczką, świętą Rodziną czy Mikołajem i te najzwyczajniejsze z widokiem miejsca pobytu. Razem około siedemdziesięciu barwnych znaków pamięci.

Śmieję się sama z siebie, że z całej mojej Ameryki (oprócz miłości do Emily Dickinson) został mi ten obyczaj, chociaż nie mam kominka, nad którym zazwyczaj ustawiały świąteczne kartki moje znajome z Seattle, Baltimore czy Waszyngtonu. Ale kartki świąteczne to jedno, a listy drugie zagadnienie.

Jestem absolutną niewolnicą korespondencji. Dzień, w którym listonosz nie dzwoni, aby wrzucić do skrzynki na parterze lub własnoręcznie przynieść mi kilka grubych i cieńszych kopert, jest pusty. Łapię się na tym, że jeśli z zielonej skrzynki nie wyziera brzeżek białego papieru, jestem zdziwiona i zawiedziona. Rozczarowują mnie także widokówki ze schematycznymi pozdrowieniami z letnich i zimowych wakacji, nawet te nadesłane z egzotycznych miejscowości, bajecznie kolorowe, przedstawiające podwodne cuda raf koralowych, Błękitne Meczety, wielbłądy

czy Disneylandy. Nie bawi mnie nowoczesna piramida przed Luvrem ani widok ośnieżonych Alp, jeśli na odwrocie nie ma choćby kilku zdań przemawiających do mnie indywidualnym głosem piszącego, na przykład: „Popatrz, jak tu pięknie!” (zachwyt); „Jak można było coś takiego postawić w sercu Paryża!” (oburzenie); „W Stambule skręciłam nogę w kostce i trzy dni przesiedziałam na campingu pod opieką sympatycznej Turczynki, która robiła mi okłady z tytoniu wydłubanego z papierosa! Język turecki jest bardzo trudny, za to migowy niezawodny” (opowiadanie z pointą). Nawet opinia, że „Troja to kupa kamieni” świadczy przecież o rozczarowaniu bądź braku wyobraźni podróżującego.

Widokówki ze świata są mimo wszystko ciekawsze od kilkunastu podobnych do siebie obrazków ze stajenką betlejemską czy pisankami wielkanocnymi. Wprawdzie na ich podstawie można by wysnuwać pewne wnioski w postawionej niegdyś przez Jana Stanisławskiego kwestii, dotyczącej „wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiej Nocy”. Okolicznościowe pocztówki świadczą, że Boże Narodzenie budzi w nas głębsze uczucia religijne (Dzieciątko w żłobie, św. Rodzina, Trzej Królowie) niż Wielkanoc, która każe nam bardziej cieszyć się zbliżającą wiosną (bазie, żonkile, żółte kurczątka – rzadko pojawia się postać Chrystusa Zmartwychwstałego).

Karty świąteczne czy imieninowe – choć liczne – są jedynie częścią korespondencji, jaką prowadzę i jaka ostatnio doprowadziła mnie niemal do depresji, ponieważ nie potrafię żadnego znaku pamięci pozostawić bez odpowiedzi! Podobno wpływa na to zakodowana w znaku Koziorożca, a pozostająca w związku z tajemniczymi koniunkcjami planet, obowiązkowość, będąca zresztą w ciągłej kolizji z moim wrodzonym lenistwem. Jak tu się jednak nie załamać, kiedy po wrzuceniu do czerwonej skrzynki pocztowej sporej liczby odpowiedzi zastaję

w mojej zielonej domowej skrzynce następne zaniepokojone pytania, co się ze mną dzieje, że tak długo nie daję znaku życia. Oczywiście jestem sama sobie winna.

To moja niegasnąca ciekawość ludzi i świata, moja okrutna zachłanność i oczekiwanie na przyjaźń, życzliwość i – (nie bój się, wykrztuś to wreszcie!) na miłość. O nich przecież mówią mniej lub bardziej czytelne litery w dłuższych czy krótszych listach, na widokówkach czy kartkach świątecznych. Mówią o potrzebie pamięci, międzyludzkich kontaktów, wzajemnej serdeczności. Czy może to zastąpić coraz bardziej popularny e-mail, który nawet nie znalazł jeszcze polskiego odpowiednika? Czy skrótowy faks albo nawet najzabawniejszy obrazek na monitorze komputera zastąpi znajomy charakter pisma na kopercie?

A ja, czy narzekając na ilość otrzymanej korespondencji wyrzekam się jej? Koziorożec buntuje się przeciw obowiązkowi odpisywania na listy, ale nie potrafi się go wyrzec. Bo wie, że nawet kiedy siedzi sam w czterech ścianach domu, jest otoczony przyjaciółmi. Stosy listów znowu rosną, nie umiem ich nie czytać, choć trudno mi je nawet posegregować, a już zupełnie nie potrafię żadnego wyrzucić. Przecież w każdym z nich jest kawałek czyjegoś życia, potrzeba kontaktu, pytanie. W listach mówimy sobie o wiele więcej niż przez telefon. Nawet pisane na maszynie czy komputerze – jeśli tylko szczerze, przybliżają nam autora. Ale największą wartość mają te pisane piórem czy długopisem: nie narzekajmy, że do ich odczytania trzeba zakładać okulary czy wziąć do ręki lupę. Charakter pisma powie nam o piszącym więcej niż treść listu. Co za wspaniała nauka – grafologia!

Przyspieszony czas, w jakim żyjemy, nie zawsze pozwala na chwilę oddechu, ale czy musimy poddawać się tak bezwzględnie tempu współczesności? Pozwólmy sobie na taką chwilę – i poświęćmy ją pisaniu listów ■

Kto się schował w Czatachowie?

Władysław Ratusiński

WIEŚ NA JURZE, MIĘDZY ŻARKAMI A ZŁOTYM Potokiem. Na końcu wsi, pod lasem, zamieszkali pustelnicy. Niby nic w tym dziwnego. Wybudowali sobie chatki i kościółek. Ilu ich jest – nie wiem. Trzech? Może pięciu? Siedzą tam już od ładnych paru lat. Czasem można któregoś spotkać w okolicy, jak jedzie na rowerze po prowiant.

Nazwali to miejsce Pustelnią Ducha Św. Mieszkają jako mnisi, za klauzurą. To znaczy – za wysokim płotem, pachnącym niezbyt miło jakimś smarem – dla konserwacji. Na chatce widać piękny obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem.

Centrum tej sadyby stanowi kościółek z Najświętszym Sakramentem, ze sprawowaniem liturgii. Powstał jak bazylika w Loreto – przez obudowanie domku. Cudownej starej chaty, której belek można dotykać z nabożną czcią. Niestety, obudowa coraz bardziej zaczyna dominować. Estetyczna stolarka: chórek, ściany – wszystko to ładne, aż za ładne, niby w jakiejś willi. Oby tylko nie przyszło komuś do głowy chałupę też obić listewkami.

Z zewnątrz kościółek jest urokliwy – biel ścian, duży hełm na wieży. Dobrze wpisuje się w krajobraz. Aż żal, że dach nie jest z czerwonej, ceramicznej dachówki, a teren przed kościołem wybrukowano betonową kostką. Niezbyt też pasują tu płytki ceramiczne, a triumfalna kamienna brama wygląda jak „drzwi do lasa”. Ale od strony klasztoru-pustelni – naprawdę ładny mur z białego kamienia. Powstaje następny drewniany obiekt, którego wewnątrz składa się z pokoiku mieszkalnego i kapliczki. Wszystko to budzi zaciekawienie przybywających wędrowców.

Niech tylko w owej trosce, gorliwości, ciągłym rozbudowywaniu i udoskonalaniu nie zatrać się pierwotny rys surowego, ubogiego i szlachetnego piękna.

Właśnie doszły do mnie niepokojące wieści, że podobno pustelnicy zamierzają rozebrać chatkę. Strata byłaby ogromna! Skoro już nie chcą „domku loretańskiego” – kościoła w kościele – mogliby chociaż przenieść czcigodną chatynkę i zmontować ją obok! ■

Przykre czasy. Szerzy się zagłada wszystkiego, co proste, dawne, rodzime. Miejsce dla nowożytniej ery otwarte. I oto, miast nowego ducha, nowej myśli twórczej, kroczą dumnie wszechpotężny szablon, rozwielmożniona bezmyślność. Zmieniły się czasy. Życie nowożytne stawia nowe wymagania. Także w dziedzinie mieszkań ludzkich i przybytków Bożych. Na szczęście, dzieje się to u nas nie tak szybko, jak gdzieś indziej. Nasz zastój cywilizacyjny ma pod tym względem swoją dobrą, konserwatorską stronę. Dużo, niestety, dużo, o wiele więcej, niżby przypuszczać można, zachowało się u nas pięknych, nieocenionych zabytków budownictwa drzewnego.

W górach naszych, na stokach Tatr i Beskidów stoją jeszcze nietknięte szare „izby” góralskie, zbudowane przemądrze, mocno na węglach związane, o dachach strzelistych u dołu załamanych, krytych gontem lub deskami – a „izb” takich całe wsie. Na nizinach – białe, niebieskawe chałupy, niskie, ze słomianą ciężko zwisającą strzechą, toną w zieleni polskiego krajobrazu, grając wesoło na słońcu kontrastami światła i cienia. Po miasteczkach rządami strzegą jeszcze rynków olbrzymie szczyty domów podcieniowych, oparte na słupach rzeźbionych misternie. Stare dworki modrzewiowe otoczone cieniem drzew witają nas gościnnie kolumnadą prześlicznych ganków. Wiejskie kościółki drewniane, okolone „sobotami”, przykryte sięgającym niemal ziemi dachem, stawiają gdzieś jeszcze hardo czoło modzie (a może konieczności) wznoszenia pretensjonalnych, murowanych pseudogotyckich świątyń. Przedziwnie piętrzą się drewniane dachy na świetnie zbudowanych cerkiewkach wiejskich, a pokrewne im bożnice odślaniają zachwycający, niezwykle system wieżyczek, dachów, galerii, ganków...

I starzeją się coraz bardziej te mieszkania ludzkie i przybytki Boże, rozrzucone szeroko po całej ziemi polskiej. Starzeją się, lecz nie giną całkiem. Żywe jeszcze, z rodzimego pnia wyrosłe, związane z życiem narodu – to niemi świadkowie jego dziejów, to czułe organizmy.

A tu czasy robią swoje, a tu życie nowoczesne rozbrzmiewa coraz nowym dysonansem. Ułatwiony, uproszczony tani „styl koszarowy” zapanował w milionowych miastach, w małych miasteczkach, ba, po wsiach nawet. Obok barbarzyńskiego obchodzenia się, drogą zagłady lub haniebnej „restauracji”, z przepięknymi zabytkami prawdziwie stylowych epok, razi nieszczere w dzisiejszych czasach wznoszenie pałaców renesansowych lub gotyckich świątyń.

(„Budownictwo drzewne”. Wydawnictwo Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana” w Krakowie pod redakcją Edwarda Trojanowskiego i Jerzego Warchałowskiego. Materiały. Zeszyt VI, w Krakowie 1905)

ZAGLĄDAJ NA STRONĘ SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ 3”: <http://www.alej3.now.pl>

Wymiana myśli w otwartej dla wszystkich Księdze Gości naszego serwisu.

W KRAJU KWITNĄCYM KAPUŚTĄ

Agnieszka Nowacka



Studentka piątego roku filologii polskiej i drugiego semestru dziennikarstwa WSP w Częstochowie.

Native speakers – to przeważnie ludzie młodzi, po studiach, z silną motywacją do pracy i uzyskiwania w nauczaniu jak najlepszych wyników. Często zainteresowani są naszym krajem, jego kulturą i historią.

Zanurzone w głębokich fotelach przy niskim stolczku prowadzą ożywioną dyskusję, gestykują, głośno się śmieją. Spostrzegają nas. Gestem zapraszają do siebie. Witają szczerze i radośnie. Nadia poznaje nas ze swoją znajomą: „Melinda – Agnieszka, Paweł”. „Cathy jeszcze nie ma?” – pytam. „Trochę się spóźni”*.

* * *

English club w „Sofie”. Tu, w niewielkiej, przytulnej knajpcie w podzie-

* Dla ułatwienia przekazu nie cytuję angielskich wypowiedzi, lecz podaję ich tłumaczenie. Dziękuję Karolinie Zakrzewskiej i Pawłowi Kolbe za pomoc w przekładzie.

miach przy al. NMP w Częstochowie, na sofach, fotelach, krzesłach – zasiadają i bawią się. Amerykanie i Anglicy, którzy w Polsce uczą języka angielskiego tzw. native speakers. A z nimi Polacy – uczniowie, znajomi, przyjaciele.

W ostatnich latach powstało lub otworzyło filie na terenie Polski wiele szkół językowych. Dziś ważna jest nie tyle znajomość języka, co umiejętność jej wykorzystania w praktyce. Z tego powodu większość akademii decyduje się na zatrudnienie lektorów obcojęzycznych.

* * *

Cathy znam najdłużej, bo już z opowieści Pawła, który pomaga mi w rozmowie z Amerykanami. Później, w andrzejkowy wieczór zetknęłam się z nią osobiście, wtedy też poznałam Nadie.

Są radosne, spontaniczne, szczerze, otwarte – różne od raczej przygnębiionych Polaków.

Często spotykamy się przypadkiem, to w tramwaju, to na ulicy. Zawsze witają mnie radosnym „hallo” i szerokim uśmiechem.

Jak czują się w naszym świecie, tak różnym od ich rzeczywistości? Co myślą o nas – Polakach? Jak radzą sobie w codziennych sytuacjach? Dlaczego tutaj właśnie przyjechały?

Moją propozycję dotyczącą reportażu, wywiadu przyjmują z chęcią i otwartością. Nadia od razu sugeruje, że przyprowadzi przyjaciółkę – Melindę. Tak dochodzi do spotkania.

* * *

NADIA ARCHULETA – uczy języka angielskiego w Lingua Language School. Najbardziej lubi muzykę latinoamerykańską, ale słucha też niemieckiego zespołu Rammstein. Kocha taniec i koty. Nie lubi ludzi, którzy myślą, że wszystko wiedzą najlepiej, że zawsze mają rację.

MELINDA BRASHER – w Lingua Language School pracuje z dziećmi i młodzieżą. Jej ulubioną formą spędzania

czasu jest czytanie książek. Lubi meksykańską kuchnię i muzykę pop. U ludzi nie toleruje uprzedzeń.

CATHY STEFFEN – uczy w Kaplan American Academy. Uwielbia czekoladę i hiszpańską muzykę; życie mogłaby spędzić tańcząc salsę. Drażnią ją małostkowi i „podrabiani” ludzie.

* * *

Przyjechały z różnych miejsc, tu się spotkały, poznały.

Nadia – burza włosów na głowie, okularki, sympatyczny uśmiech – jest osobą raczej cichą, w kontaktach z nowymi ludźmi nieco skrępowaną, ale otwartą. Pochodzi z Denver w Colorado. W USA studiowała pisarstwo i historię Polski. „Historię Polski?” – powtarzam zdziwiona. „Tak – uśmiecha się – zawsze interesowała mnie Europa Wschodnia; zawsze chciałam przyjechać do Polski, żeby uczyć angielskiego, a przy okazji poznać wasz kraj, kulturę, obyczaje”.

„Ja też zakochałam się w Europie” – wtrąca Melinda. (W Stanach studiowała hiszpański i językoznawstwo.) – Szczególnie w Hiszpanii. Tam nie mogłam pojechać, a o Polsce słyszałam dużo dobrych rzeczy. Znalazłam tu pracę, przyjechałam, zostałam”. Rozkłada ręce, zaznaczając: „Tak się ułożyło, widocznie tak być miało.” – Uśmiecha się – chyba zadowolona z tej sytuacji. Przyjechała z Arizony, dorastała w małym miasteczku, angielskiego uczy od dziewięciu miesięcy.

Spogląda na mnie i nagle pyta: „Agnieszka... ja chc...ę, ty chceszz...” – próbuje odmienić czasownik. Dołączają do niej Nadia i Cathy. „Chcę – to trudne słowo” – mówi Cathy, „chcę, przyjaciele i wszystkie z prz...” – dodaje Nadia, „i szczęśliwa – podpowiada Melinda – polskie wyrazy są długie i trudne do zapamiętania”. Na kartce próbują zapisać zwroty, które sprawiają wyjątkową trudność.

Polska wymowa najsprawniej udaje się Cathy. „Nauczyłam się już trochę, na początku nie potrafiłam powiedzieć słowa. Największy problem sprawiają mi różnice: sz a ś, cz a ć

i wszystkie wyrazy z ą". Cathy pochodzi z Kansas City, w Missouri, jest zodiakalnym skorpionem i zaznacza, że jest to dla niej bardzo ważne. „Znam nawet całe zdanie po polsku” – chwali się: „Ja nie mówię po polsku” – wymawia (czysto, z nienagannym akcentem) i dołącza historyjkę. Przyłapaną w pociągu na trasie: Częstochowa-Kraków na podróżowaniu na gapę, próbując tłumaczyć się konduktorom użyła swego „pokazowego” polskiego zdania: „Ja nie mówię po polsku”. Chyba jej wymowa była zbyt dobra, bo mimo że później nie była w stanie powiedzieć nic innego w naszym języku, funkcjonariusze uparcie twierdzili, że udaje nieznaną języka polskiego.

Rozbawiła nas wyjątkowo tą opowieścią, urozmaiconą grą ciała i mimiką, jednocześnie sprowokowała moje kolejne pytanie: „A jak radzicie sobie z codziennymi sytuacjami?” Nadia śmieje się głośno i wskazuje na Melinę, ta zawstydzona broni się: „Nie, nie opowiem”. Jednak relacjonuje: „Strasznie wstydzę się o tym mówić, ale dobrze. Byłam kiedyś z przyjaciółmi na kolacji w polskiej restauracji. Gdy skończyliśmy podszedł kelner, spojrział, uśmiechnął się i spytał: smakowało? To słowo... wiem – pomyślałam i palnęłam: SMACZNEGO! – usłyszałam śmiech przyjaciół, zobaczyłam twarz kelnera walczącego z grymasem i zalałam się rumieńcem. Dopiero później znajomi wytłumaczyli mi na czym polegała moja pomyłka” – kończy z trudem powstrzymując się od śmiechu. Najgłośniej śmieje się Nadia i mówi: „A ja próbuję radzić sobie, używając polskich słów”.

Przez moment uwaga Amerykanek skupia się na osobach wchodzących do klubu. Znajomi. Cathy zaciska pięści, udaje dumę i krzyczy: „Interview!”.

* * *

„Lubię Cathy za jej optymizm i otwartość. Spędzam z nią dużo czasu, również poza szkołą – mówi Justyna

(26 lat), studentka. – Dwa lata nauki w Kaplanie, pod nadzorem native speakers, dały mi więcej korzyści niż sześć lat wkuwania w szkole podstawowej i średniej”.

„Są szczerze, nie stopniają nam wiedzy, odpowiadają na każde pytanie. Systematycznie sprawdzają postępy” – Paweł (25 lat).

Ania (23 lata) – „Najważniejszy jest ciągły kontakt z językiem żywym i prawdziwym. W końcu odważyłam się mówić po angielsku”.

„Co sądzicie o polskich studentach?” – pytam. Uśmiechają się. „Polscy studenci mówią dobrze po angielsku, są chętni do rywalizacji. Chyba więcej czasu spędzają na nauce, niż amerykańscy” – Nadia. Melinda: „Ja uczę dzieci, najmłodszych – potrafią być niegrzeczne, są leniwe, ...ale właściwie to się zdarza wszędzie. Jestem pod wrażeniem ich słownictwa i umiejętności, choć nie współzawodniczą i ściągają”.

Cathy kiwa twierdząco głową: „Tak, ściąganie nie jest tak dużym problemem w USA, a przynajmniej nie jest tak akceptowane jak tutaj. A dzieci... Zdarzają się niegrzeczne i niechętnie do nauki, ale są to zwykle te siły wysłane przez rodziców na kursy”. Cathy martwi się, że niektórzy dorosli, mimo chęci do nauki języka, nie akceptują stosowanych przez nią metod nauczania.

„Duży nacisk kładziemy na komunikowanie – dołącza Nadia – proponujemy scenki, gry, pracę z tablicą, ale też z książką i pisanie wypracowań”. „Wydaje mi się, że Polacy, szczególnie ci starsi, nie są przyzwyczajeni do tej formy pracy – Cathy – chyba odczuwają niedosyt dopóty, dopóki wszystko nie zostanie podyktowane i zapisane”.

* * *

Dziewczyny wolny czas spędzają na podróżach po Polsce i Europie, uczą się naszej rzeczywistości. Bawią się, spotykają z polskimi przyjaciółmi, organizują prywatki, grają w karty, poznają nasz język.

Co o nas sądzą? Jak odbierają polską kulturę, obyczajowość? Co w nas lubią, czego nie tolerują? Co je dziwi, co fascynuje?

Chyba podobnie jak my Amerykanów, one również charakteryzują nas poprzez wytworzone schematy. „Polacy piją za dużo alkoholu, są zbyt konserwatywni i powściągliwi”. „Ale spotkałam się też z miłymi, przyjemnymi i otwartymi ludźmi” – spostrzega Nadia, a przyjaciółki zgodnie jej przytakuja.

Ich wyobrażenie o Polsce i Polakach zmieniło się po przyjeździe i pobycie tutaj. Przedtem wiedziały niewiele o naszej współczesnej rzeczywistości, a i informacje, które posiadały „obrobione” były w ludzkie rozmyślenia i wyobrażenia.

Nadia utożsamiała naszą kulturę z Czechami, które wcześniej zwiedziła; „Mylłam się” – stwierdza teraz. Melinda – „Nie wiedziałam dużo. Wiedziałam, że jest tu zimno, że kilka lat temu był tu komunizm”. Pewnie dlatego sądziła, że Polska nie jest krajem tak wysoko rozwiniętym, jak inne państwa Europy Zachodniej. Zdziwił ją też poziom możliwości: „Polacy wyglądają na bogatszych niż myślałam. Ubierają się ładnie i elegancko”. Wspólnie zastanawiają się, dlaczego Polacy tak bardzo fascynują się Ameryką. „Różnicie się od nas, jesteście bardziej powściągliwi i religijni, macie mocne tradycje – to dobrze”. „I jadacie w domu – z uśmiechem dodaje Cathy – w Stanach częściej żywimy się w restauracjach, fast-foodach”. Lubią polskie jedzenie, najbardziej kiełbasę, buraki i kapustę.

„Większość Amerykanów, słysząc o Polsce myśli o polce – tańcu” – śmieje się Melinda. „O polce?” – pytam zaintrygowana. „Tak: o polce – choć nikt z nas nie wie jak ten taniec wygląda. Gdy wrócę do Stanów, pokazę polkę i opowiem jeszcze o kapuście, której jest tutaj więcej niż w całej Ameryce Północnej”. „A najbardziej lubię bigos” – kończy niespodziewanie Nadia ■

Dom babci Frani

Sabina Chróstowska

Autorka w roku 1999 została laureatką nagrody „Gazety Wyborczej” w konkursie literackim „Miejsca magiczne”. Poniżej prezentujemy fragment wspomnień związanych z historią jej rodziny, wywodzącej się ze wsi Antoniów pod Częstochową.

WZDEŁŻ KAMIENISTEJ DROGI Z BIAŁYMI „kocimi łbami” stał drewniany, zmurzały, zielonkawy płot. Musiał być bardzo stareńki, postawiony chyba przez pradziadków, bo gdy paznokciem lub nożykiem chciało się wyryć jakąś literkę, drzewo odchodziło płacami, jak kruszyna chleba od bochna. Tu i ówdzie pokrywał go pysznej zieloności mech. Z rozsypujących się desek dawno powypadały sęki. W te dziurki po sękach wkładaliśmy nasze małe dłonie. Przejdzie czy nie przejdzie? Nieco dalej stał kierat uruchamiany do młócki przez wujka Pawła. Zaprzęgał dwa konie, które godzinami drepwały w kółko, zaś w stodole kilka osób wrzucało żyto do młockarni. Odganiał nas wujek od tego zębatego koła i kieratu, bo nuż kogoś „złapie”. Stodoła była olbrzymia, z dwoma sąsiedkami pachnącymi żytem, sianem, trawą. Fajnie było wleźć na sąsiek, zagrzebać się w pachnącym sianie, poleżeć, a niekiedy nawet całą noc przespać.

Obok stodoły pokaźna piwniczka – królestwo babci Frani. Zwieńczona rudo-ceglastym daszkiem, który gdzieś pokrywał wilgotny mech. Do tego sanktuarium wchodziło się po kilku bardzo śliskich schodkach. Ogarniała wtedy ciemność i chłód. Na półkach, w wykuszach, w okienkach był istny sezam obfitości. Pustawiano przeróżne specjały: słoiki z marynatami, sokami, powidłami, dżemami, gliniane brązowe dzbany z kwaśnym mlekiem, które nożem można było kroić, a także oselki słonawego masełka, serki w lnianym, białym płótnie, słoiki z grzybkami, pachnące jabłuszka-zimówki zagrzebane w piachu.

Klucz od piwnicy dzierżyła babcia w kieszeni fartucha i byle pętał go nie dostał. Radość była wielka, gdy babcia zabierała nas tam, kroić, tak kroić, kawał zsiadłego mleka, smarowała pajdę chleba świeżym masełkiem. Smakowało jak rajski owoc. Dzisiejszy zjadacz pulchnych bułeczek nie wie czym był taki kubeczek mleka nieskażonego żadną chemią!

Kilka metrów dalej – prawdziwy dom. Jak na ówczesne czasy, jak na warunki antoniowskie, można powiedzieć, że był to mały dworek z trzema izbami, obszerną kuchnią, starannym chlewem, gdzie każde stworzenie miało swoje schludne legowisko. W pobliżu, po przeciwnej stronie, była szopa i drewnutnia. Na progu domu – podkowa. Miała przynosić szczęście domowi i jego mieszkańcom. Każdego roku odnawiano na drzwiach inicjały Trzech Króli: Kasper – Melchior – Baltazar.

Sień, która zarazem była kuchnią, miała betonową posadzkę. W rogu stał olbrzymi piec, służył do codziennego gotowania posiłków, a sabbatnik do pieczenia chleba i ciasta. Na prawo od wejścia stał długi, trzymetrowy, drewniany stół, w którym żłobiliśmy różne rowki, pod ścianą ława, szorowana co sobotę. W tej sieni-kuchni jadło się, tu siadywali sąsiedzi, tu toczyło życie. Tu można było wejść w trepach, co było zabronione w pokojach. Pomieszczenie było spore, miało chyba ze 20 metrów. Żar buchał z pieca, opalanego drewnem. W żar wrzucało się też „dusze” od żelazka; czerwoną duszę wyciągało się po grzebaczem i wsuwało w żelazko. Wstążki prasowało się także na rurze od małego piecyka. Zawsze były żółknięte, ale wyprasowane. Wstążka to w tamtych czasach niebywały prezent na imieniny.

W kącie stała drewniana dzieża do wyrobu chleba, łopata do wsadzania chleba do pieca, masełnica z długim turlejem, którym dzieciom pozwalano obracać w pustej masełnicy. Oddzielna miotła była do zamiatania izby, inna, z grubych gałęzi, do podwórka.

Na lewo wchodziło się do pokoju gościnnego z oknem na podwórko, z doniczkami kwiatów, z eleganckim stołem, przykrytym haftowaną przez ciotkę Zochę serwetą, z łóżkiem i wyszywanymi poduszkami. Drugie okno wychodziło na część ogródka, na stronę Bachniaków. Z tego pokoju było wejście do jeszcze piękniejszego, bardzo słonecznego pokoju, z którego okien widać było cały ogród. Aż po dach sięgały malwy, pachniała maciejka, jaśmin. Do tego pokoju wchodziło się rzadko. Na wyszorowanej do białości podłodze leżały kolorowe chodniczki, robione na krosnach przez wiejskie rękodzielniczki. W środy dawało się worek niepotrzebnych szmatek, a za dwa tygodnie kobiecina przynosiła 3-4 piękne chodniczki. Dziś sprzedają takie w Cepeliach.

Bardzo tajemniczym pokojem, prawie jak z baśni był „pokoik babci”. Do niego mogło wejść tylko dziecko grzeczne, które umyło rączki i wytarło buty. Były tam istne cuda. Na podłodze jakiś stareńki, barwny kilim, na lewo komoda z kilkoma tajemniczymi szufladkami, na niej lalka-Hiszpanka o wijących się, czarnych jak smoła lokach, zamykająca oczy, ze złotymi kolczykami w uszach, w barwnej sukni robionej na szydelku z włóczek w ostrych kolorach: czerwonym, złotym, pomarańczowym, żółtym, fioletowym i zielonym. Feeria barw! Lalka-Hiszpanka przechodziła z pokolenia na pokolenie. Można było na nią dłużej popatrzeć, a nawet wziąć na rękę, pogłaskać, poobracać, aby zamrugła tymi swoimi wielkimi rzęsami lub zamknęła oczy. Myśl o ujrzeniu Hiszpanki nie opuszczała nas ani na chwilę. Babcia odgadywała nasze tęsknoty, wycierała ręce w fartuch, zdejmowała saboty i szeroko otwierała drzwi sezamu.

Obok lalki stał piękny porcelanowy pantofelek na bardzo wysokim obcasie, przy nim magiczna kula z „różnościami” w środku. Zasadniczy element tego pokoiku stanowił ołtarzyk, bo babcia była osobą wielce pobożną. Po dwóch schodkach dochodziło się do drugiej komódki, pokrytej białym obrusem, pośrodku której stał krzyż, woda święcona w metalowym dzbanusku i kropidło. Kilka świętych obrazków wisi na ścianie. W tej religijnej atmosferze wzrastały dzieci „moje”, „twoje” i „nasze”, bo babcia owdowiała i wyszła ponownie za mąż za także owdowiałego brata męża.

Podwórko było niezbyt ładne, z niewielkim bajorkiem, w którym pluskało się stadko kaczek i kaczątek. Drobiu nie brakowało – gęsi, perliczki, indyczki, kurki-japonki. Było to jedno z naj-

lepszych antoniowskich gospodarstw. W bardzo obszernym chlewie, porządkowanym w każdą sobotę, stały rzędem krowy, konie, polegiwały i pokwikały świnię. Kury wieczorem wracały na swoje grzędę, żadna się nie pomyliła z odszukaniem właściwego miejsca. W przeciwnym razie rozlegał się wrzask i gdakanie wielkie. Były się skrzydłami niczym ludzkie łopaty.

Po prawej „ręce” babcinego domostwa mieszkali Bachniakowie, czyli babcina siostra z rodziną. Po lewej – Aleksandrowie, czyli brat z rodziną. Z mnóstwem dzieci, trudno spamiętać Janków, Helki, Maryśki. Wieczorami przychodzili Bachniaki i Aleksandry posłuchać, co w świecie. Jak na targu było? Czy koń nie kuleje pod nową podkową? Na ile proso, gwoździe, żyto? Babcia smarowała pajdki chleba i nalewała w garnuszki kawę zbożową.

Mimo tych wspaniałości nasze wzajemne babcino-wnuczkowe stosunki były, można powiedzieć, chłodne. Może dlatego, że ta babcia miała kilkoro wnucząt i nie przytulała nas? Może jej czasu brakowało, aby opowiadać bajki jak babcia Józia... ■



Babcia Frania z Natalią, matką Autorki. Atelier „Rembrandt” Częstochowa, ok. 1920 roku.

Cztery lata na huśtawce

Wojtek Kmita

Od kiedy w wieku lat jedenastu poznałem smak żeglowania, wiedziałem że kiedyś muszę popłynąć jachtem dookoła świata. Mimo zamieszkiwania w Częstochowie, która leży dość daleko nie tylko od morza, ale nawet od większych jezior (wtedy nie było jeszcze nawet zalewu porajskiego), udawało mi się dość intensywnie poznawać tajniki żeglarstwa, brać udział w wielu rejsach i zdobywać niezbędne w takiej podróży doświadczenie. Pierwszy jacht do wielkiej wyprawy zacząłem budować w ostatnim dniu matury – egzaminy trwały tylko do południa – ale niestety nie udało się go ukończyć. Wrak do dzisiaj leży przy drodze wjazdowej do ośrodka hutniczego w Poraju. Następna próba budowy – już po studiach – również zakończyła się niepowodzeniem. Do trzech razy sztuka! Jacht „Temi” budowaliśmy we dwójkę, wraz z żoną Gosią. Po dziesięciu latach przygotowań ruszyliśmy na oceany i tropikalne wyspy – by spełniać młodzieńcze marzenia. Poniższe fragmenty pochodzą z wydanej właśnie książki „Cztery lata na huśtawce”, w której staram się choć trochę opisać to, czego doświadczyliśmy podczas podróży, odbytej w latach 1993-1997.

Załoga s/y „Temi”,
czyli mieszkańcy
pływającego domu:
Gosia i Wojtek
Kmitowie.

Na Maderze zaczęliśmy pojmować sens kreda życiowego większości żeglarzy mieszka-

jących na jachtach. Twierdzą oni, że **najlepsze rzeczy, jakie się zdarzają, są darmowe** – i bynajmniej nie chodzi o przedstawione w powyższych przykładach, bezpłatne pozyskiwanie dóbr. Przebywając we współczesnym skomercjalizowanym świecie pełnym reklam, niełatwo jest to chyba zrozumieć. Ale w warunkach pozwalających spojrzeć na świat z dystansu, np. podczas dłuższej włości jachtem po pięknych, lecz mało zagospodarowanych rejonach globu, ta myśl staje się oczywista.

* * *

Bajecznie kolorowe wschody i zachody słońca (obrazy niezbyt dynamiczne, ale skutecznie zastępujące telewizję), rozgwieżdżone milionami gwiazd nocne niebo, jakiego nigdy nie widać na kontynentach (nie mówiąc o miastach, których niebo ma zaledwie kilka gwiazd), odpoczywające na pokładzie morskie ptaki (latają dużo dalej od lądu, niż „pozwalają” im na to naukowcy), no i „Temi” spełniająca wszystkie pokładane w niej nadzieje – wszystko to dopełniało poczucie szczęścia, jakie daje człowiekowi realizacja największego z jego marzeń. I nagle uświadomiliśmy sobie, że już dwa tygodnie nie spotkaliśmy statku, nie przeleciał żaden samolot, nie widzieliśmy nawet jednego pływającego śmiecia, po prostu nie ma niczego, co świadczyłoby o istnieniu innych ludzi. Dość ekscytujące wrażenie, nie mające nic wspólnego z obawą lub poczuciem zagrożenia. Wręcz przeciwnie: pełne bezpieczeństwo, bo dopóki sami nie popełnimy błędu, nic nie jest w stanie zrobić nam krzywdy – uczucie chyba zupełnie nieznanne w normalnym lądowym życiu. Na oceanie nie ma przecież ludzkiej zawiści, złej woli czy po prostu głupoty. A czyż to nie one najbardziej zagrażają bezpiecznemu i spokojnemu życiu?!

* * *

Zacynałem rozumieć, czemu tak wielu żeglarzy, wybierających się w dłuższe podróże po tropikalnych morzach, nie wraca na ląd. Powoli rysował mi się obraz życia ciekawszego, barwniejszego, bezpieczniejszego (cóż znaczy jedno



zatrucie?! i bez względu jak patetycznie by to nie zabrzmiało, dość szczęśliwego. A że bez dostępu do większości dóbr tzw. luksusowych, ba, również do wielu uznawanych za niezbędny współczesnemu człowiekowi standard? Że trzeba zrezygnować z korzyści, jakie niesie przynależność do zorganizowanego społeczeństwa oraz z ochrony i jakichkolwiek zabezpieczeń społecznych, których sporo – wbrew obiegowym opiniom – zapewnia najbardziej nawet liberalne (a także totalitarne) państwo? Coś za coś!

Na Karaibach staliśmy się częścią tej społeczności żeglujących indywidualistów. Prócz faktu zamieszkiwania na jachtach, łączy ich również – mimo różnych rodowodów, bo przecież pochodzą z wielu krajów i kultur – zbliżony system wartości i zasad postępowania. Nie są przez nikogo sponsorowani i od kogokolwiek zależni. Zrezygnowali z konkurowania o coraz to większe dobra materialne, o władzę (jakakolwiek, niekoniecznie tę dużą) lub o przywileje wynikające z przynależności do jakiejś grupy. Lubią „żyć inaczej” i nie odczuwają, by ich życie było gorsze lub bezcelowe, a zarzut (który sam również słyszałem), że jest pasożytnicze, nie ma sensu – wszak w ten sposób żyje się bardziej na własny rachunek, niż jest to możliwe gdziekolwiek indziej. Z drugiej strony, gdyby taki styl życia nie przynosił satysfakcji i spełnienia (cokolwiek by to miało oznaczać), to stałe zamieszkiwanie na jachcie byłoby prawie katorgą. Nawet na dużej łodzi ilość miejsca jest bardzo niewielka, a przy tym rezygnuje się przecież z większości udogodnień, które na lądzie są już tak naturalne, że w ogóle ich nie zauważamy. „Niewygodny” pobyt na ciasnym i stale kołyszającym się jachcie, będący atrakcją podczas wakacji, nie kończy się tu wraz z urlopem. O realizacji wielu ambicji (np. zawodowych) i niektórych innych potencjalnych celach życiowych, nie wspominając już o gromadzeniu dóbr materialnych, trzeba zapomnieć. Dla wielu ludzi niezbyt satysfakcjonujący mógłby być również wieloletni, intensywny wysiłek przed wyruszeniem w podróż i dużo niespecjalnie produktywny (w sensie wyników ekonomicznych) pracy w jej trakcie. To rzeczywiście trzeba lubić i nigdy nie odważyłbym się zachęcać kogokolwiek do takiego alternatywnego sposobu na życie.

* * *

Po dotarciu na północny kraniec tego mierzącego 1100 kilometrów długości archipelagu, zakotwiczyliśmy w lagunie, która stała się na kil-

ka miesięcy naszym domem. Brzegi laguny zamieszkuje kilka rodzin, głównie Amerykanów i Kanadyjczyków, którzy wybrali to spokojne, choć wcale niełatwe życie na koralowej wyspie jako alternatywę dla szaleńczego pościgu za sukcesem, w którym uczestniczyli we własnych krajach. Osadę założył jeszcze w latach pięćdziesiątych znany rzeźbiarz Randolph Johnston. Zbudował dom, pracownię i galerię, przywoząc materiały, narzędzia, a nawet małą ciężarówkę na swoim czternastometrowym jachcie (który służył mu przez kilka poprzednich lat jako dom). Następni przybysze również budowali w podobny sposób, gdyż choć to spora wyspa i jest na niej jedno z kilku bahamskich miast (w wyspiarskich państewkach duże miasto liczy 3 tysiące mieszkańców), to wycięcie w gęstym buszu czterdziestokilometrowej drogi byłoby zupełnie nieopłacalne. Zresztą popłynięcie czasami na zakupy po turkusowych wodach raf koralowych jest dużą przyjemnością...

...Mam wrażenie, że jednym z motywów, dla których ludzie osiedlają się w takich miejscach, jest chęć rozwiązywania wyłącznie realnych problemów. Nasi nowi znajomi mówili czasami, że na decyzję zmiany otoczenia znacząco wpłynęła, narastająca z wiekiem, świadomość przebywania w społecznościach, tworzących sobie zbyt wiele sztucznych problemów. A wiedza, że wszystkie duże grupy ludzkie podlegają tym samym prawom społecznym, zawiodła ich w to odległe i odludne miejsce. Jako ludzie aktywni nie narzekali wcześniej na brak sukcesów, również materialnych, a jednak wylądowali na niełatwej do przeżycia i ledwo wystającej ponad powierzchnię wody rafie koralowej. I znaleźli czego szukali, czyli same realne problemy. Brak źródeł wody wymaga zbierania jej podczas pory deszczowej, a więc trzeba zbudować olbrzymie zbiorniki, zapewniające przeżycie podczas suchej połowy roku. Nie chcą wracać do jaskiń, muszą więc dowieźć łodziami materiały i sami wybudować ładne domki (są estetami). Potrzebna im energia elektryczna, instalują więc olbrzymie baterie słoneczne. Mają przyjaciół w innych rejonach świata, obsługują więc radiostacje krótkofalowe (pewnie teraz jest to już satelitarny dostęp do internetu). Nie są w pełni samowystarczalni żywnościowo, gdyż niewiele do zaoferowania ma rafa koralowa, posiadają więc łodzie, dające im dostęp do sklepów. I gdy zdarzy się huragan, na trasie którego znajdzie się ich osada, to odbudowują wszystko od początku. A pieniądze? Nie potrzeba ich tak dużo jak w „normalnym” życiu,

ale bez nich i tu nie da się przetrwać. Jeden rzeźbi, drugi komponuje, trzeci pomaga im budować i remontować domy oraz łodzie, czwarty ma już emeryturę, inni też jakoś sobie radzą i zarabiają na te dobra, które nie za bardzo można zdobyć bez pieniędzy. W końcu nie da się tak zupełnie oderwać od cywilizacji. I nie ma po co, przecież ma ona wiele zalet. Są jednak ludzie, którym to nie wystarcza, więc próbują znaleźć miejsca pozbawione jej wad – tak jak zrobili nasi znajomi z laguny. Coraz mniej jest takich miejsc w przeludnionym świecie, ale dla niezbyt rozmiękczonego luksusem obsługi wszystkiego za pomocą guzików pilota, pozostało jeszcze sporo pustych wysepek koralowych. No i zawsze można zbudować łódź...

Bar z widokiem na lagunę



* * *

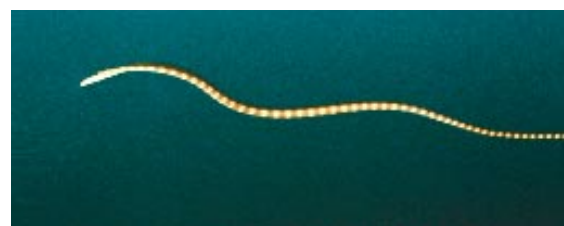
Jeszcze przez tydzień cieszyliśmy się bezludną wyspą i coraz bardziej docierało do nas bezsens tak głęboko zakorzenionego w Europie mitu o rajskim życiu na atolu koralowym. Dziewiętnastowieczna literatura nieprawdopodobnie wyidealizowała skrajnie niekorzystne warunki przetrwania na tym skrawku lądu, a obrazki w książkach dla dzieci, pokazujące radosnych tubylców na małej wysepce, to jedna wielka manipulacja wyobraźnią! O mało co nie zostaliśmy jej ofiarami. Ponurkowaliśmy jednak na nietkniętych przez człowieka rafach, a stada bajecznie kolorowych ryb nie uciekały przed nami, bo widocznie nie miały zakodowanego strachu przed takimi dziwnymi istotami. Podczas spacerów towarzyszyły nam stale małe rekiny piaskowe, z pasją

próbujące gryźć po łydkach, gdy tylko zaczęliśmy brodzić w wodzie. Gdzież indziej takie tchórzliwe stworzenia, jakimi są rekiny, odważyłyby się atakować większego od siebie? Może zresztą to nie agresja, a tylko ciekawość? Trudno przecież ocenić zamiary ryby, nim nie wbije się zębami w nasze ciało. Tak czy inaczej, oganiałismy się od nich jak od obszczekujących psów.

Co za niesamowite uczucie – własny atol, prywatne oceanarium o powierzchni kilkuset kilometrów, ba, kawałek oceanu, na którym nie może zakłócić naszego spokoju żaden statek – bo tylko tak niewielkie łodzie jak „Temi” mogą przepłynąć przez wąskie szczeliny między rafami.

* * *

Im dalej na północ się przemieszczamy, tym jest goręcej i bardziej sucho. Znikają też ostatnie ludzkie siedziby, bo cóż mieliby robić ludzie na pustynnym półwyspie York. Kończą się też nurkowania na rafach a nawet kąpiele morskie, mimo że upały stają się coraz większe. W tej części Australii oraz na całym jej północnym wybrzeżu wchodzenie do wody to zajęcie dla potencjalnych samobójców – szanse na udaną próbę są tylko trochę mniejsze niż przy skoku z wieżowca. Tak Aborygeni, jak i biali Australijczycy nie brodzą nawet w wodzie po kostki. Czasem jednak któryś z nielicznych docierających tutaj turystów nie posłucha dobrej rady i powiększa tragiczne statystyki. Przyczyną tragedii może być kilka niebezpiecznych gatunków zwierząt. Krokodyle słonowodne to prawdziwie doskonałe maszyny do zabijania, w porównaniu z którymi aligatory, krokodyle słodkowodne czy rekiny są łagodnymi zwierzątkami. Te osiągnące czasami pięć metrów długości bestie, poruszają się w wodzie zupełnie niezauważalnie i bezszmerowo, a gdy zachodzi potrzeba, potrafią obserwować ofiarę całymi godzinami a nawet dniami – by poznać jej zwyczaje. I kiedy już przystępują do ataku, to nie tylko człowiek w wodzie, ale i pies na plaży nie ma najmniejszych szans. Pełną prędkość kilkudziesięciu kilometrów na godzinę osiągają wprost z pozycji obserwacyjnej, którą zajmują tuż pod powierzchnią wody. Zabijają również, choć inaczej i nie po to by się nami po-



żywiec, meduzy zwane osami morskimi. Są przezroczyste, więc trudno je zauważyć i ominąć, a średnia dawka ich jadu zabija dorosłego człowieka w ciągu kilku minut. Niegroźnie wyglądające węże morskie o długości do jednego metra, robią to samo w kilka sekund. Ich jad jest wielokrotnie silniejszy od jadu najniebezpieczniejszych węży lądowych. Nie atakują wprawdzie ludzi, ale przypadkowo podrażnione, natychmiast bronią się całym swoim arsenałem. Są w związku z tym prawdziwym zagrożeniem dla rybaków indonezyjskich, gdyż zaplątują się w ich ręcznie wyciągane sieci, ale i pływak lub nurek może nie zauważyć wygrzewającego się na powierzchni wody cienkiego węża, który do złudzenia przypomina kawałek wodorostu.

* * *

67 dni trwał ten najdłuższy pobyt na morzu. Doprowadził nas do archipelagu o zaskakującej architekturze. Na środku oceanu ludzie żyją w miasteczkach, w których większość zabudowy pochodzi z okresu pomiędzy XVI a XIX wiekiem. Nie zniszczone przez wojny, killkupiętrowe kamienice z czerwonej cegły i kamienia nie tylko pięknie się prezentują, ale nadal spełniają wszystkie funkcje użytkowe. Olbrzymie stare kościoły są tutaj naturalnym elementem krajobrazu, a nie szacownymi zabytkami w nowoczesnym otoczeniu. Pływając po archipelagu odnosi się wrażenie, że to wycieczka po najlepiej zachowanych starówkach miast europejskich. W azorskich portach po raz ostatni cieszyliśmy

się towarzystwem mieszkających na jachtach żeglarzy. Ci nieliczni, którzy opuszczą na chwilę oceaniczne szlaki i dotrą do Europy, rozproszą się po jej portach i znikną wśród tysięcy pięknych jachtów, rzadko tylko opuszczających nowoczesne mariny.

* * *

Nim zacumowaliśmy w Gdańsku, wiedzieliśmy już, że trudności w przystosowaniu się do lądowego życia będą jeszcze jedną ceną, jaką przyjdzie nam zapłacić za tę podróż. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że młodzińcze marzenia realizuje się za darmo!

A skoro już padło słowo „cena”... Często zadawano mi pytanie: ile to wszystko kosztowało? Jedyna odpowiedź, jaką jestem w stanie udzielić, brzmi: 15 lat przygotowań, w tym 10 lat ciężkiej pracy nakierowanej na jeden tylko cel, a przez 5 lat budowy jachtu rezygnacja z jakichkolwiek zajęć nie związanych z realizacją wyprawy, z wolnych niedziel, czasochłonnego świętowania, rozrywek, spotkań towarzyskich... Pewnie niektórzy uważaliby takie życie za co najmniej barbarzyństwo. Ja zawsze będę im odpowiadała: coś za coś! Pieniądzy nigdy nie policzyliśmy i w warunkach inflacji lat 80. byłoby to pewnie niełatwe. A koszty utrzymania podczas podróży określam tak: za te pieniądze, w warunkach lądowych można co najwyżej wegetować. My natomiast latami przebywaliśmy w miejscach, w których całkiem zamożni ludzie mogą sobie pozwolić tylko na krótki urlop■

Trasa rejsu s/y „Temi” 1993-97



Fotografie: Gosia i Wojtek Kmitowie

Wojtek Kmita
„Cztery lata
na huśtawce”
wyd. II, „KEMOT”
Częstochowa 2002

Tadeusza Różewicza związki z Częstochową

Tadeusz Gierymski

TADEUSZ RÓŻEWICZ, NAJWYBITNIEJSZY (kwestia „naj” bywa bardzo subiektywna) twórca powojenny, pochodzi z Radomska. Tuż po wojnie przebywał w Częstochowie, gdzie złożył egzamin maturalny. Pisywał również, chociaż rzadko, do lokalnego dziennika „Głos Narodu” i czasopisma literacko-artystycznego „Przemiany”. Tu także miał miejsce debiut książkowy poety. Pierwsza jego książka „W łyżce wody. Satyry” wyszła przecież w roku 1946 w Częstochowie, w drukarni Wilko szewskiego. Egzemplarze jej są dziś niezmiernie rzadko spotykane.

Podczas wojny Różewicz uczestniczył w ruchu oporu (AK). W latach 1943-1945 jako partyzant walczył na terenie ówczesnego powiatu częstochowskiego. Ten rozdział życia Różewicza w okresie komunistycznym był przemilczany przez samego autora i władze bezpieczeństwa – widać na polecenie najwyższych (w sensie politycznym) osób. Zwłaszcza po ukazaniu się „Niepokoju” i „Czerwonych rękawiczek”.

Tadeusz urodził się 9 października 1923 roku w Radomsku, dokąd jego rodzice przenieśli się trzy lata wcześniej z wieluńskiego Osiakowa. Był ich drugim synem. Matka, Stefania, tak potem pisała we wspomnieniach skreślonych na prośbę syna: „O godzinie dziewiątej urodził mi się syn. Trochę byłam rozczarowana, bo bardzo pragnęłam córki. Dzieciak urodził się zdrowy, tłuścioch, miał długie, czarne loczki, które sięgały do połowy szyi”.

W międzywojniu Radomsko wcale nie było zapadłą dziurą, prowadziła przez nie kolej (dawna warszawsko-wiedeńska), przez którą mknęła torpeda Warszawa-Katowice. W miasteczku było kilka zakładów przemysłowych, istniały dwa gimnazja, cztery księgarnie, wypożyczalnia książek, teatr dźwiękowy „Simena”, stadion sportowy. Ukazywała się także „Gazeta Radomowska”. Od święta gościł w miasteczku teatr i odbywały się gościnne koncerty.

W monografii T. Drewnowskiego czytamy: „Mimo to Radomsko było typową polską prowincją z jej biedą (w końcu lat trzydziestych były prawie dwa tysiące bezrobotnych), z żydowsko-cygańską

egzotyką, zastojem kulturowym, obyczajową prudecją, brakiem jakichkolwiek perspektyw”. Wszystko to można znaleźć w wierszach Różewicza o dzieciństwie i młodości, krainie sielsko-anielskiej. W „Elegii prowincjonalnej” Różewicz ciekawo świata pisze:

Tam małe pociągi ryczą
jak stalowe cieleta
do matki przestrzeni

konduktor przykłada
dwa palce do daszka domku
w którym mieszkają zabawki

chłopiec w niebieskich
skarpetkach siedzi
z rozchylonymi ustami

wskazuje i nazywa po imieniu
pyta dlaczego dlaczego

Powyższy przykład można podeprzeć jeszcze innymi wierszami, w których jawi się Arkadia lat dziecięcych. W utworze „Kasztan”: „Na półce stoją słoiki / w których konfitury / jak boginie ze słodkimi ustami / zachowały smak / wiecznej młodości”, z kolei w „Wspomnieniu dzieciństwa”: „Żółty latawiec błyskał / w przewalającym się dymie / jak oko smoka / chłopiec wierzył że jest ptakiem / leciał przez zielone łąki / krzyczał”.

Rodzina Różewicza żyła dość skromnie. Ojciec poety był niższym urzędnikiem sądowym. W wierszach syna pojawia się on dość rzadko i zawsze jako lekkoduch: „Żył jak ptak / śpiewający / z dnia na dzień”. Już jako sędziwy człowiek ożenił się powtórnie z dużo od siebie młodszą kobietą. Ta decyzja nie podobała się synom.

W poezji Różewicza więcej miejsca zajmuje matka:

Nagle otworzy się okno
i matka mnie zawoła
już czas wracać

rozstąpi się ściana
wejdę do nieba w zabłoconych
butach

usiądę przy stole i opryskliwie
będę odpowiadał na pytania

nic mi nie jest dajcie
mi spokój. Z głową w dłoniach
tak siedzę i siedzę Jakże im
opowiem o długiej
i splątanej drodze

Tu w niebie matki robią
zielone szaliki na drutach

brzęczą muchy

ojciec drzemie pod piecem
po sześciu dniach pracy

Wiele wierszy poświęconych matce zawiera
„Czerwona rękawiczka”.

INICJACJE POETYCKIE

Tadeusz miał dwóch braci – starszego Janusza i młodszego Stanisława. Janusz od wczesnych lat pisywał wiersze i przed wojną publikował je w pismach szkolnych i młodzieżowych. Po maturze znalazł się w podchorążówce w Częstochowie, skąd już prosto poszedł na wojnę. W czasie okupacji działał w konspiracji w Łodzi. W ramach akcji „W” prowadził dywersję propagandową wśród Niemców. W lutym roku 1944, na podstawie donosu został aresztowany i w kilka miesięcy później rozstrzelany.

Stanisław jest znanym reżyserem filmowym. Lecz to starszy brat rozbudził w Tadeuszu zamiłowanie do literatury. „Kiedy byłem małym chłopcem – wspomina poeta – czytywałem ze starszym bratem bajki, potem opowiadania o Indianach, kowbojach, detektywach. Nocą, nakryci pierzyną lub kołdrą, czytaliśmy przy lampce kieszonkowej, żeby mama nie zobaczyła.” Potem przyszła pasja do książek i pism literackich. Janusz, ponoć jedyny w Radomsku, prenumerował „Wiadomości Literackie”, „Skamandra”, „Pion”, „Sygnały”, „Prosto z mostu”. Tadeusz Różewicz wiele lat później wspominał z podziwem brata, który zdobywał w Radomsku „Motory”, „Ferdydurkę” czy „Króla Ubu”. Pod wpływem Janusza sam zaczął bardzo wcześnie pisać. W radomszczańskim gimnazjum redagował

pisemko szkolne pt. „Miotła”. W roku 1938 drukował swoje pierwsze utwory w ogólnoszkolnym piśmie „Czerwone tarcze”.

Poza lirykami młodziutki Różewicz tworzył satyry, parodie, pastisze, pisał artykuły teoretyczno-literackie i krytyczne.

Po zdaniu tzw. małej matury Różewicz próbował dostać się do Liceum Pedagogicznego w Piotrkowie, lecz oblał egzamin ze śpiewu. W następnym roku dostał się do Liceum Leśnego w Żyrowicach, ale wybuch wojny przekreślił jego plany dotyczące nauki.

OKUPACJA I PARTYZANTKA

Zaraz po tragedii września Tadeusz Różewicz zaczął pracować jako goniec, potem magazynier w Kreishauptmanhafcie w Radomsku, jeszcze później w urzędzie mieszkaniowym, gdzie prowadził ewidencję opłat – tzw. komornego. Gdy i ta praca stała się zbyt upokarzająca i niebezpieczna (należał już do ruchu oporu), został uczniem stolarskim w Fabryce Mebli Giętych „Thonet”.



Został skierowany do tajnej podchorążówki w Radomsku, gdzie szkolił się przez pół roku. Wczesnym latem 1943 powołano go do oddziału partyzanckiego. Według wydanego po wojnie dokumentu – kpr. podchor. Satyr (pseudonim Różewicza) służył w 7 Dywizji Piechoty – Częstochowa Armii Krajowej i walczył przeciw okupantowi na terenie powiatów: włoszczowskiego, radomszczańskiego, częstochowskiego.

Został trzykrotnie odznaczony. Nie był partyzantem malowanym. Brał udział we wszystkich głównych akcjach zbrojnych między Wartą a Pilićką w trzydziestoosobowym oddziale.

Różewicz walczył nie tylko z bronią w ręku. Pisywał także do podziemnej prasy, np. do „Czynu Zbrojnego”, artykuły publicystyczno-patriotyczne, zaś w dodatku literackim do tego pisma zamieszczał kartki z swego żołnierskiego dziennika. Ponadto młody partyzant wydał w lesie dwa numery „Głosu z krzaka”. Gazetkę tę, na pół satyryczną na pół interwencyjną, wywieszano – zależnie od miejsca postoju, na pniach drzew. Miała ona ogromne wzięcie. „W takich okolicznościach – jak podaje Drewnowski – narodził się prawdziwy debiut Tadeusza Różewicza o charakterze satyrycznym pt. „Echa leśne”.

Podczas wojny poeta napisał sporo wierszy, ale ocalało i ujrzało światło dzienne – niewiele.

W CZĘSTOCHOWIE



Skończyła się wojna. Cała rodzina Różewiczów (oprócz zamordowanego przez Niemców Janusza) przeniosła się do Częstochowy, gdzie ojciec rodziny awansował na sekretarza sądu pokoju. Tadeusz po odłożeniu karabinu wziął się za naukę. Po paru miesiącach „wkuwania” zdał egzamin maturalny, uczęszczając do „przyspieszonej” klasy dla pracujących przy Państwowym Gimnazjum im. J. Słowackiego. W październiku 1945 zapisał się na Uniwersytet Jagielloński. Wyteżona nauka nie przeszkodziła mu w pisaniu. Drukował w częstochowskim „Głosie Narodu”, a właściwie w literackim dodatku dziennika „Przemiany”. Z Często-

chowy posyłał utwory satyryczne również do „Kocyndra” i „Szpilek”. Tego okresu dotyczy fragment wspomnień L.M. Bartelskiego zamieszczony w roku 1958 w „Nowej Kulturze”. Autor „Ludzi z rzeki” pisze: „Wiosną roku 1945 w redakcji częstochowskiego „Głosu Narodu” zastałem siedzącego przy biurku jednego z redaktorów, młodego chłopca w nędznej kurteczce i zbyt dużych, jak na niego, saperkach niemieckich. Odczytywał właśnie nieznużonemu Sławomirowi Folfasińskiemu wiersz, którego refren, o ile dobrze pamiętam brzmiał: A Polska będzie czerwona, czerwona, czerwona!” Częstochowa była wówczas trzecim miastem poetyckim w Polsce – po Krakowie i Łodzi. Miała nawet swój odrębny Związek Literatów i piękny, malinowy sztandar. Niezwykle naonczas aktywne środowisko wypuściło także swoje własne pismo „Przemiany”. Chłopak w saperkach zamieścił w nim wypowiedź o poezji pt. „Rewizyty i duch”.

Debiut książkowy Różewicza miał miejsce także w Częstochowie. W jakich okolicznościach? Otóż w roku 1945 powstała w mieście z inicjatywy przebywających tam literatów oraz miejscowych dziennikarzy i drukarzy – Spółdzielnia Wydawnicza „Słowo”. Składka członkowska wynosiła 100 zł, udziałowców nie było wielu. Brak funduszy nie pozwolił więc rozwinąć poważniejszej działalności edytorskiej. W praktyce spółdzielnia wydawała „Przemiany”, kolportowała pismo i miejscowy dziennik oraz drukowała ścienne informatory gospodarcze. Różewicz mimo wszystko złożył tam maszynopis swoich wierszy. Względy finansowe nie pozwoliły zrazu na wydanie tomiku, chociaż poeta sam był członkiem Spółdzielni. Machnął więc na „Słowo” i wystąpił z niego. Dopiero Tadeusz Kwaśniewski, nowy dyrektor tej instytucji, przeorsował wydanie wierszy Różewicza. W roku 1946 ukazał się debiutancki tomik zatytułowany „W łyżce wody”. (Było to zresztą jedyne osiągnięcie „Słowa”, bo wkrótce Spółdzielnia uległa likwidacji.) Zbiorek ten pod względem szaty graficznej przedstawiał się bardzo skromnie. Książeczka mała, zawierała 32 stronicie, wydrukowane na kiepskim papierze rotacyjnym, w kartonowej okładce. Były to 32 dłuższe lub krótsze utwory satyryczne podzielone na 3 działy: „Pro publico bono”, „Wiersze wszeźteczne” i „Na własnym podwórku”. Utwory z debiutanckiego, częstochowskiego zbioru mało jeszcze przypominają wiersze, które kojarzą się z nazwiskiem Różewicza. Układane są według „starej” wersyfikacji, autor operuje w nich tradycyjnymi środkami wyrazu. Toteż dopiero „Niepokój” z roku 1948 słusznie jest uważany za artystyczny i rzeczowy debiut poety ■

turniej jednego Wiersza

Styczeń 2002

Justyna Kowalik

* * *

wyciąga z szafy
spraną sukienkę
białe włosy
gładzi drżącą dłonią
obok niej on
w kapciach i kocu
szuka wsparcia
dla gnącego się ciała
oczy błędzą
po chłodnym pokoju
młodość zamknięta
w pudle na strychu
dwa zmęczone drzewa
chylą się ku ziemi

Fotografie: Jerzy Piwowarski



Luty 2002

Marcin Janocha

URBANIZACJA CIEBIE

chciałbym
wybudować
miasto
w Twoich ramionach
na Twych piersiach
wieżowce do chmur
sypiać
w nich
co dzień
co noc
bilet
niepowrotny
przebukować
na wieczność
pociągom
rozkazać
nieprzyjazd
marzeniom
nakazać
nie marzyć
...a być

kiedyś
wybuduję
miasto
otoczone
tylko
murem
Twoich
dłoni



Piotr Zabłocki, „Sens czasu 3”, I nagroda na CYBERFOTO, Częstochowa 2002

luty 2002

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

STYPA

ciotka częstuje żałobników
żurkiem i swojską kielbasą
wujek doprawia wódkę
esencją i palonym cukrem

wzruszona kuzynka wklepuje
krem w zaczerwienione powieki
sąsiadka pulchna Neosecesja
rozpływa się na kozetce

dzieci pod stołem grają „w wojnę”
rodzina z Katowic przeklina
kury – rude ptaszyska nasrały
na maskę nowego poloneza

dziadek drzemie przy stole
z wykałaczką w zębach
wyrwany ze snu spogląda na gości
i śpiewa chropowate: Sto lat!

marzec 2002

Marta Smoleń

IMAGO

Kiedy się dorasta i wychodzi,
Jak poczwarka czy imago
Z kokonu beztroskiej głupoty
To boli.

Wtedy dowiadujesz się, że człowieka
Nie stwarza się z gliny, żebra
Czy pisząc list do bociana, tylko
Inaczej.

Krasnale i elfy pakują manatki
I wynoszą się z mózgownicy,
W której już dla nich
Za ciasno.

Kiedy nie wystarcza chodzenie za rękę
I łąduje się w łóżku z chłopakiem,
Który nie pamięta jak masz na imię
Jest cicho.

„Nie mam, nie chcę obejrzeć dobranocki”
Dramat istoty czująco-myszącej
W fazie przejściowej z pustoty do pustki
Wewnętrznej.

Kiedy od pomysłów lasuje się mózg.
Gdy libido spływa po kolanach.
I kto wie, co z TEGO
Wyrośnie?

Fot. Jerzy Piwowski



– Nikogo nie obchodzi mój smutek... – żali się. Istotnie, wyglądał nieszczęśliwie.

– A dlaczego ma to kogo obchodzić? – odpowiadam. – Ludzie mają poważniejsze kłopoty niż twój smutek, smuteczek. Psychicznie jesteś zdrow jak świeże, górskie powietrze. Twój smutek jest przejściowy i mały jak ziarnko grochu – uśmiechnąłem się. – Ale nie daj Boże, żeby to ziarenko wypuściło łodyżkę, listki i opłotko cię jak boa. Teraz, gdy taki maleńki, korzystaj z niego. Dzięki melancholii możesz patrzeć na świat i życie z pewnego oddalenia, możesz patrzeć na świat i życie z pewnego oddalenia, dystansu – wtedy największe podłości lub wiedza o nich, bledną i tak nie przerażają. Smutek każdego kiedyś dopada i odpada. I od ciebie odfrunie jak kruk. Poczekaj tydzień, dwa. Nostalgia nauczy cię więcej niż myślisz. Wtedy mocniej poczujesz smak radości.

Mój smutek – inny. Nieustanny, nieuleczalny, jak smutek przestrzeni międzygwiazdnej. Brak mu tonu, koloru, ciężaru – nie ma żadnych właściwości. I nie jest ziarenkiem grochu. Jest mną. Ale nawet temu kosmicznemu smutkowi nie można się poddawać. Należy wykonywać codzienne czynności, kochać dzieci, patrzeć na gwiazdy i drzewa, żartować, śmiać się i słuchać piosenek Ewy Demarczyk, Okudźawy i serdecznie pokpiwać ze spraw poważnych – im poważniejsze, tym bardziej homerycki śmiech.

* * *

Znowu mój błękitny delfin przyniósł mi w pysku kawałek wspomnienia z przedwczorajszych lat. Kujawy, Nieszawa, dworzec PKP, falujące morze cukrowych buraków. Trawiaste parowy ciekące do Wisły, porośnięte śliwami. Fiolet tamtych nabrzmiatych owoców niosę do dzisiaj w kącikach oczu. Także buraczane stępy i folwark Bacciarrellich, potomków malarza. Do nich należała wielka posiadłość oraz pałac, w którym byłem raz jeden jako pięciolatek. Wprowadzono nas do salonu. Wokół krążganek, na ścianach ozdoby, obrazy, poroża, strzelby myśliwskie. Szeptem zapytałem przyrodniej siostry: „Czy jesteśmy w kościele?” W tamtym wieku nieraz odczuwamy, iż jesteśmy krasnoludkami w krainie czarów.

We wsi Waganiec pierwsza moja szkoła. Trzyklasowa, malutka. Jedna nauczycielka, jedna sala, w niej cztery rzędy ławek, a każdy rząd to inna klasa. Lekcje Pani prowadziła jednocześnie ze wszystkimi klasami. Pamiętam prymuskę w pierwszej klasie – Marysię o niebieskich oczach, jasnych włosach. Była córką fornała. Po

skończeniu tej szkoły nie umiałem czytać, pisać ani rachować. Potem jeździłem do szkoły pociągiem, do Włocławka. Właściwie dopiero tam zaczęła się moja edukacja. Przez Włocławek przepływała Wisła, wielka woda jak dzisiejsza Amazonka. Dzieciństwo. Ten błękitny delfin coraz częściej do mnie przypląwa.

* * *

Wichura, deszcz, pędzące, skołtuniałe chmury. Samopoczucie fatalne. Jakbym za chwilę miał umrzeć. Lecz piszę, więc jestem.

* * *

Kołowrót wszechrzeczy nie ustaje. Bez już wypuszcza listki. Dzień dłuższy o trzy godziny. Na południowym zboczu, gdzie latem zbierałem rydze, słońce prawie dopieka, ale to grajdołek osłonięty od wiatru. W telewizji cyrk parlamentarny ruszył z kopyta. Na urząd prezydenta stolicy gotują się hoplici i jedna amazonka. Afganistan wciąż dymi. W łazience znów przecieka kran, ale liczymy na pomoc Janka. Na przystankach tramwajowych i autobusowych młodzież się obłapuje, skleja i trwa w znieruchomieniu aż do orgazmu. W wozie natomiast starsza kobieta w wełnianej chuście na głowie (oczy ledwo widoczne) chce ustąpić mi miejsca, bo stoję oparty na lasce. Zmuszam ją fizycznie, żeby tego nie robiła. Nie wiadomo, u kogo można spotkać Caritas, najrzadziej u młodzieży. Bóg zaś patrzy i patrzy, zupełnie bezsilny jak Chrystus. Unia Europejska ma nas nauczyć oglądy i pracowitości... Długo to potrwa. Patrę na mapę: Izrael, kropla w arabskim morzu. I nie ma żadnego wyjścia, żadnego światelka w końcu tunelu. Krew, śmierć jak za Machabeuszy. Religie krwawią. Zawsze krwawiły? Ale konflikt bliskowschodni to nie sprawa konfesji, lecz materialnych potrzeb ludzi. Może także krwiożerczego atawizmu, jaki nie potrafiła wygnać z człowieka kultura, nawet religia. Zahamuj potok banałów, bądź ciszą! (...) Czy można ciszę napisać?

* * *

Czytam Artura Schopenhauera, filozofa niemieckiego (urodzony w Gdańsku) – bardzo popularny w drugiej połowie XIX wieku. Dzisiaj przeciętny inteligent zna może jego nazwisko, rzadko poglądy na człowieka i życie. Właściwie nie są one nam potrzebne, mamy inne zmartwienia i troski. Światopogląd Schopenhauera to skrajny pesymizm. Ludzie wciąż poddani jakimś żądom, które ich niszczą.

* * *

Tak, różnych Kantów, Kartezjuszów, Schele-
rów, Bergsonów czytać można, lecz pożytku z fi-
lozoficznej lektury – niewiele. Przyswajając fi-
lozofię należy w młodości. Głowa musi być czymś
napelniona. Potem dostrzegamy, że żaden fi-
lozof, żaden system nie dają pełnej odpowiedzi
na fundamentalne pytania ludzkości z zakresu
ogólnej teorii bytu, epistemologii itd. Najwyżej
częsteczki prawdy. W całości natomiast ich sys-
temy, konstrukcje nie są warte funta kłaków. Za-
mymkają rzeczywistość w klatki, w których ona
nie może się rozwijać. Życie jest zbyt bujne, cu-
daczne, płynne i zagadkowe, żeby dało się
zmieścić w ramach jakiegokolwiek systemu fi-
lozoficznego.

* * *

Mając siedemnaście lat, dawałem się bez tru-
du przekonać i zawierałem książkowym mąd-
rościom. Miało to w Łodzi w pierwszych latach
po wojnie i nie były to prace Schopenhauera, lecz
angielskiego filozofa – Georgea Berkeleya, z prze-
łomu siedemnastego i osiemnastego wieku.
Przedtem jednak tło.

Mieszkaliśmy przy placu Wolności, gdzie stał
Ratusz z bijącym co kwadrans, nawet w nocy,
zegarem, Muzeum i mała, prywatna biblioteka.
Ten czas do dziś pachnie mi podpiwkami, przy-
rządzanym domowym sposobem przez matkę
oraz wonią trotuarów po krótkich deszczach,
które gwałtownie wypijało czerwcowe słońce.
Hołdowałem wówczas poglądom Stanisława
Przybyszewskiego (Sztuka dla Sztuki), toteż in-
teresowały mnie książki z filozofii i estetyki. Naj-
lepiej czytało się w parku Zdrowie. Tam osłupia-
ły, z wypiekami na twarzy przewertowałem
Berkeleya, który zaprzeczał obiektywnemu ist-
nieniu świata. Byt i byty to złudzenia. Natural-
na rzeczywistość jest wytworem naszych zmys-
łów. Park, w którym byłem, drzewa, słońce
i wszystko wokół, istnieje tylko wtedy, gdy na
nie patrzymy i patrzy Bóg. „Istnieć” znaczy być
postrzeganym. Spotkanie ze skrajnym subiek-
tywizmem uderzyło w mój umysł jak piorun.
Dotykam swoich nóg, głowy, patrzę na jeziorko
– to wszystko ma być mirażem, fatamorganą?
Ale mędrcomi musiałem uwierzyć. Opętał mnie
Fryderyk Nietzsche, który do reszty przewrócił
mi w głowie. Przeczytałem wszystkie dzieła sza-
leńca przetłumaczone na język polski (m.in.
przez Kasprowicza), ale czy wiele z nich zrozu-
miałem? Niewiele. Teraz dopiero wiem, że ży-
cie z całym swoim bogactwem, różnorodnością,

tajemnicą – omija posągi filozofów. Jak rzeka,
pieniąc się, omija skały.

* * *

Niechże trochę śmiechu. Z siebie samego.
Szedłem do J., która na komputerze przepisała
mi ogrom tekstów. Gratis. Nie mogłem więc bez
kwiatka. Jeden ładny, oryginalny kwiat symbo-
lizuje więcej uczuć niż kilka. Kto daje wiele czę-
sto ma złe zamiary wobec osoby, której ofiarowu-
je. Podobnie nie przypada mi do smaku grób
wyglądający jak tort urodzinowy. Jeden kwiat,
jeden znicz wydają mi się stosowniejsze. Bo je-
dno mamy serce.

Alem gaduła. Idę, tramwaj. Widzę w bramie
przekupki z kwiatami. Wysiadam, oglądam. Cho-
ciaż mi się spieszy, pytam, już tylko z ciekawości,
o cenę jedenastu paśowych róż. Kosztują niewie-
le więcej od pojedynczych. Decyzja: „Proszę te,
tylko nie zawijać!” Płacę, łapię naręczce, biegnę do
tramwaju. (Nie był to oczywiście sprint.) Wiązan-
kę trzymam wysoko nad głową, żeby kto nie po-
tracił płatków. Zziąjany wchodzę do urzędu. Lecz
J. nie ma, wyszła, wróci za dwie godziny. Trage-
dia! Co robić? Zostawię u koleżanek, poproszę, by
wstawiły do wody. Ale wtedy ominie mnie przy-
jemność osobistego wręczenia róż, które trzymam
w zwisającej ręce. Nikt wiązanki nie widzi. Zawio-
zę do domu, wręcze jutro. Dotrwają, to pewne –
dotychczas ani jeden płatek nie spadł. Miałem kil-
ka spraw w śródmieściu. Akurat autobus. Szes-
nastka. Za pół godziny byłem w domu. Maria też
gdzieś wyszła. Nie rozbierając się, szkarłatne, pię-
kne róże wstawiłem do największego wazonu i na-
pełniłem go do połowy zimną wodą. Odetchną-
łem. Teraz mogę spokojnie pójść tu i tam.

Po kilku godzinach wracam do domu. Maria
już w progu pyta, po co wstawiłem róże do wo-
dy? Jak to, po co? Żeby nie zwiędły. Uśmiecha
się i wyjmuję bukiet ciemnej czerwieni z wazo-
nu. „Widzisz?” Nic nie widzę. Odwija jakąś
szmatkę u dołu kwiatów. Teraz dopiero dostrze-
gam kilka sterczących drutów.

Śmiały się długo. Pomyślałem, że nie ma
tego złego, co by na dobre nie wyszło... Gdybym
zastał J. w biurze – blamaż. Gdybym poprosił ko-
leżanki o zatrzymanie róż i wstawienie do wo-
dy – kompromitacja jeszcze większa. Opatrzność
czasem nade mną czuwa.

* * *

Przeglądam album starych zabytków Rzymu.
Kiedyś dawno przeczytałem, że piękna architek-
tura to z a m r o ż o n a m u z y k a ■

Spisane na kolanie

O opowiadaniach
Tadeusza Gierymskiego

TADEUSZ GIERYMSKI PO DŁUŻSZYM OKRESIE milczenia (nie licząc publikacji w lokalnej prasie) zaskakuje czytelników kolejnymi książkami. W roku 1999 ukazał się jego trzeci tomik poetycki pt. „Wiersze”. Dwa lata później zadebiutował jako prozaik „Notatkami z czasu”, a w roku bieżącym wydał zbiór pt. „Opowiadania najkrótsze”.

Autor we wstępie wyjaśnia, że cykl obrazków, szkiców, opowiadań, nowel, scenek rodzajowych, portretów itd. powstał w ciągu kilku lat dla gazet, w których pracował (lub z którymi tylko współpracował). Bywało, że dane utwory tworzył „na kolanie”, ad hoc dla wypełnienia jakiejś kolumny. W ten sposób udało się zebrać 36 opowiadań, które są dopełnieniem poetyckiej wizji świata znanego częstochowskiego twórcy.

Cykl prozatorskich utworów otwiera, jak sądzę nie przypadkowo, pastisz „Małego Księcia” A. de Saint Exupery’ego. Bohater Gierymskiego bywa samotnym wędrowcem, zakochanym szesnastolatkiem, dziadkiem, ojcem, robotnikiem, poetą, młodym archeologiem, żołnierzem itd., ale jako człowiek dorosły nigdy nie zapomina o magicznym spojrzeniu dziecka – podobnie jak narrator powieści Exupery’ego. Opowiadający korzysta z fantastycznej perspektywy i obdarza życiem zwierzęta oraz przedmioty martwe. Na pożółkłych kartkach książki (zabieg redakcji technicznej) przemawia stara lampa, która dla pisarza jest przedmiotem symbolicznym (poświęcił jej dwa opowiadania, a drugi tomik poetycki nosi tytuł „Krótka oda do lampy”); także kot Alfons w noc wigilijną odzywa się ludzkim głosem. Niektóre niezwykle wydarzenia kojarzą się z baśniami H.Ch. Andersena. W kawiarni „Oaza”, przesiadującym tam poecie, ukazuje się we śnie królowa Kleopatra. Na pustynię powraca wspomniany już Mały Książę, a poznana w pociągu baletnica podczas kąpieli w miejskiej fontannie zmienia się w łabędzia i jakby nigdy nic „wsiąkła na wschodniej połaci nieba...” W książce poja-

wia się także utwór zatytułowany „Baśń sylwestrowa”. Wszystkie opowiadania o charakterze fantastycznym silnie kontrastują z utworami realistycznymi podkreślając prawdziwość opisanych wydarzeń. Na zasadzie retrospekcji autor przywołuje minione wydarzenia. W kilku opowiadaniach słychać echa II wojny, młodzieńcza fascynacja przypadkowo poznaną niemiecką dziewczyną, czasy okupacji, ludzkie historie, dzieci, wnuki, ukochane kobiety itd. Bardzo udane są niektóre scenki rodzajowe. W utworze „Osy” grupa gapiów żądnych sensacji obserwuje wypadek samochodowy, a w innym obrazku schorowani ludzie czekają w podziemiu szpitala w kolejce do ambulatorium („Ambulatorium”).

Bywa, że pod maską przechodnia lub biernego obserwatora ukrywa się mędrzec snujący filozoficzną refleksję: „Tak nieustannie pulsuje dialektyka śmierci i życia” („Kamienna kobieta”, „Świat bowiem w swej istocie jest wielką jednością”, „Kuropatwy”).

Mocną stroną opowiadań Tadeusza Gierymskiego jest umiejętność łączenia rzeczy wielkich i małych. Spojrzenie z dystansem na radości i smutki ludzkiego życia. Zwykli ludzie, zwykłe wydarzenia mogą kryć w sobie głębokie znaczenia i to umie uchwycić w swych krótkich utworach autor. Malownicze i poetyckie opisy przywołują skrawki rzeczywistości, która właśnie mija lub już przeminęła. W książce znajdziemy „swojskie” miejsca i częstochowskie klimaty: Park Staszica, Zawodzie, stary dworzec przy ulicy Świerczewskiego (obecnie ul. Piłsudskiego) i krótką wzmiankę o kultowej kilka lat temu restauracji „Cepelianka” (w opowiadaniu humorystycznym pt. „Małpi żart”). Chwilami może trochę razi zbyt sentymentalny ton niektórych utworów oraz przywoływanie zbyt utartych symboli i motywów literackich – Biała róża w opowiadaniu „Adelajda”.

Czytelnik, który ma dosyć zgiełku ulic i przechodniów pędzących z telefonami komórkowymi do pracy lub z pracy może sięgnąć po książkę Tadeusza Gierymskiego. Być może, podobnie jak ja, ulegnie urokowi jej świata, opisanego z punktu widzenia melancholijnego wędrowca, w którym stara lampa tli się „Na przekór każdej ciemności” ■

Wioletta Grzegorzewska



Tadeusz Gierymski
„Opowiadania najkrótsze”
Dom Książki
Częstochowa 2002

Podróż w głąb czasu

PRZED KILKOMA MIESIĄCAMI UKAZAŁ SIĘ ZBIÓR prozy Tadeusza Gierymskiego „Notatki z czasu”, który reprezentuje małą formę literacką. Notatki były wcześniej publikowane na łamach „Gazety Częstochowskiej” i dwumiesięcznika „Aleje 3”. Świadczy on o dużej aktywności twórczej pisarza; nie tak dawno, w roku 1999, wydane zostały „Wiersze” (Wyd. WSP w Częstochowie), a w roku bieżącym, przed paroma tygodniami – „Opowiadania najkrótsze”.

W „Słowie od autora” czytamy o notatkach: „Czym one są pod względem treści? Notatnikiem przeżyć, wrażeń i myśli, które mnie ambarasowały i nurtują do dziś. Zapiski są autentyczne, szczerą tą szczerością, do jakiej zdolny jest człowiek”. Autor podaje tu zatem definicję formy, którą się posługuje. Do „przeżyć, wrażeń i myśli” bodaj najbardziej przylega forma fragmentaryczna, szkicowa, niegotowa, taka, która nie została poddana rygorom artystycznym ani konwencji. Pojawia się ona w omawianym zbiorze w odmianach bardzo zróżnicowanych – od dłuższych wypowiedzi, zawierających opis jakiegoś wydarzenia bądź przeżycia – po kilkuzdaniowe refleksje: „Co wiadomo poza tym, że istniejemy i ginimy? Wplątani w siebie miłością, nienawiścią, zbrodnią, radością, bólem. Wyciosani siekierą w kulturze, epoce, stylu. Za wielkimi interpretacjami, za wielkimi zapytaniami – tekst się kończy, urywa”. Mamy tu do czynienia także z prozą poetycką, wyrastającą z tego samego tworzywa, co wiersze, z analogicznych pokładów przeżyć. „Żółta modlitwa drzew, czerwone hymny drzew. W jesiennej ciszy eksploduje cisza. Po liściach dębów spływa krew” – pisze Autor w „Notatkach”. „Wejść w las czerwony od wrzasku jarzębin, / w purpurze nurzać i ciało, i duszę, / być sarną, ptakiem, ważką – jednocześnie...” – czytamy w „Wierszach”. W notatki wplątane też są zdania o charakterze aforystycznym, np.: „Moralność nie jest przymiotem serca, lecz atrybutem rozumu”. Zatem pierwszy człon tytułu odnosi się do normy gatunkowej, odsyła do tradycji, w której mała forma literacka zajmuje niebagatelne miejsce.

Drugi człon tytułu wprowadza kategorię czasu, istotną w tym zbiorze. Autor podejmuje bowiem wycieczkę w głąb czasu, w głąb własnej

biografii, a jednocześnie utrwala chwilę obecną, dziejącą się „na naszych oczach”. Notatniki mają charakter intymny. Intymność przybiera formę wyznań najbardziej osobistych wtedy, gdy Autor całkowicie odsłania się przed czytelnikiem. „Niniejszą książeczkę przygotowywałem do druku po ciężkiej chorobie” – pisze Tadeusz Gierymski w „Słowie...”; w notatkach (XXX) przywołuje chwile przeżyte w szpitalu. Prywatność przejawia się też w paśmie refleksji, które współtworzą sylwetkę duchową Autora. Refleksje wyrastają z życiowych doświadczeń, miłości, rozczarowań, cierpienia, nadziei. Odsłaniają osobowość twórcy, jego pasje, zainteresowania, wrażliwość, postawę wobec świata i ludzi.

W niniejszym zbiorze mamy do czynienia z wnikliwą obserwacją świata ludzi i przyrody. Autor rysuje szkicowe, ułamkowe sylwetki tych, których spotkał i spotyka w życiu – „twarze ludzi kiedyś najbliższych, znajomych i nieznanomych”... W środowisku ludzkim nietrudno o zebranie bogatego plonu doświadczeń – dobrych, budujących, ale też gorzkich. Do najbardziej dojmujących należy samotność: „Samotność w tłumie, czasem wśród najbliższej rodziny. Z wyboru, z konieczności. Samotność twórcza, bezużyteczna, błogosławiona i przeklęta”. Sposób obserwacji przypomina czasem migawkowe, fotograficzne widzenie (twarz spotkanej na ulicy dziewczyny o chabrowych oczach). Przejawia się ono także w obrazach przyrody, która jest tu wszechobecna. Tej okolic Częstochowy – i tej norweskiej, groźnej, niedostępnej, poznanej podczas pobytu u rodziny. Niekiedy ukazuje się ona w „małym kadrze” jako śmigająca, samotna jaskółka czy dąb w Górach Sokolich, podobny do „czerwienego króla z talii kart”.

„Notatki z czasu” stanowią najprostszy przekaz doświadczeń – doświadczeń elementarnych. Autor, zmagając się z własnym losem, dotyka spraw uniwersalnych – sensu życia i śmierci, trwałości i przemijania. Świadomość przemijania jest coraz bardziej dojmująca, potęguje ją uroda świata. Dla wyrażenia swoich refleksji Gierymski odwołuje się czasem do poetów, artystów, filozofów, myślicieli: „Seneka: Często należy upominać swe serce, by pamiętało, że odejdą jego ukochania, że nawet już odchodzą. Przyjmując dary Losu, pamiętaj, iż dano ci je bez gwarancji”. Tadeusz Gierymski przypomina prawdę, do której każdy z nas dochodzi kiedyś sam. Z biegiem czasu wszyscy stwierdzamy, że najbardziej bezcenny jest sam fakt istnienia■

Elżbieta Hurnikowa

Tadeusz Gierymski
„Notatki z czasu”
Dom Książki
Częstochowa 2001

TERAPIA PROZĄ



Fot. Piotr Dłubak

Od października 2001 roku teatr im. A. Mickiewicza prowadzi ciekawy projekt pod roboczą nazwą „studentckie środy”. W małej sali na IV piętrze – histronie, gdzie niegdyś była pracownia malarska, odbywają się kameralne przedstawienia wystawiane dla 20-30 osób. Po sztuce publiczność może porozmawiać z aktorem, podyskutować w swoim gronie – nie tak jak po spektaklach na dużej scenie. Taka formuła koła dyskusyjnego jest bardzo atrakcyjna dla studentów, choć nie tylko oni tam przychodzą.

Marcowe i kwietniowe środy opowiadał Antoni Rot z monodramem Erica Bogosiana pt. „Czołem wbijając gwoździe w podłogę” – w podtytule: „Intensywna terapia prozą”. Sztuka Bogosiana jest grana w Częstochowie po raz pierwszy i – jak zapowiada pan Antoni – nie ostatni. Autor – popularny amerykański dramaturg, ma na swoim koncie współpracę z Woody Allenem i Allanem Parkerem, grę w kilku filmach. Jego sztuki były wystawiane na Broadwayu (głośny i skandaliczny „Sex, prochy i rock’n roll”). Nie jest to teatr łatwy, bo jak sam autor mówi: „Aby tworzyć sztukę,

myślę ważnym jest, aby stać się niewygodnym (przykrym)”. Bogosian drażni więc przeciętnego Amerykanina jego karykaturą. Pokazuje człowieka w pogoni za znikającym sukcesem, z rosnącym głodem posiadania, infantylnego hipokrytę wmawiającego sobie, że jest dobry dla całego świata, pod warunkiem, że to jemu jest dobrze. Niektórzy recenzenci zwracają uwagę, że sztuka dotyczy realiów amerykańskich, bogatego społeczeństwa konsumpcyjnego i u nas może być niezrozumiała. Jest to fałszywe stwierdzenie, bo równie dobrze możemy odrzucić wszystkie filmy amerykańskie, a przecież je oglądamy. Poza tym podobne mechanizmy są już obserwowane w Polsce, gdzie ludzi (szczególnie młodych) pędzących za sukcesem jest coraz więcej, a płacą-

ZMIASTA

cych za to pewną cenę też. Bohater grany żywiłowo przez Antoniego Rota stacza się, popada w alkoholizm, nieustannie wmawia sobie, że jest szczęśliwy i wspaniały. To ostatnie rzeczywiście jest bardzo charakterystyczne dla Amerykanów. Sześć postaci (jeden aktor) przeprowadza na widzu terapię, zadaje mu pytania: „Dokąd tak pędzisz? Po co ci to wszystko? Czy pieniąż musi rządzić twoim życiem?” Jeżeli widz je sobie zada, terapia podziała. Nie będzie to wielkie, oczyszczające katharsis, ale właśnie leczenie – prawie jak na spotkaniu osób uzależnionych (np. pracoholików).

Sztuka bardzo udana. Pan Rot świetnie radzi sobie z widzem, wciąga go w grę, patrzy mu z bliska w twarz, zaczepta. Sprzyja temu mała scena,

brak rampy i luźna formuła tej groteskowej sztuki. Osoby nieśmiałe mogą się poczuć spłoszone. Reżyser ocenzurował tekst, żeby nie być drastycznym. Powycinał wszystkie obsceniczne wyrażenia, tak by nie zamęczyć widza, a wydobyć ze sztuki to, co najwartościowsze.

PIĘĆ OKIEN

10 IV w OPK „Gaude Mater” odbyła się promocja książki częstochowskiego kapłana ks. Grzegorza Ułamka pt. „pięć okien”, wydanej w Biblioteczce Magazynu Muzycznego „RUAH” w Krakowie. „pięć okien, czyli próby złapania świeżego oddechu” to rozmowy z Janem Pospieszalskim, Muńkiem Staszczkiem, bp Janem Chrapkiem, Januszem Yaniną Iwańskim, ks. Waldemarem Sondką. Autor zastrzega że nie są one wywiadami, gdyż to słowo nieładnie kojarzy się z PRL-em, lecz „zapisami rozmów z Przyjaciółmi, którzy ułatwią czytelnikowi przedzieranie się po zaułkach współczesności, opowiedzą o sobie, może twórczo zaintrygują i pobudzą do działania”. Szczere rozmowy porównuje do spoglądania na świat przez okno drugiego człowieka, stąd tytuł. Rozmowy dotyczą świata wiary, kultury i współczesnych mediów, przeplatane są rodzajem kazań i katechez ks. Grzegorza, jak na osobę duchowną bardzo śmia-



łych i nowoczesnych. Ks. Ułamek chyba z racji wieku przelamuje stereotyp zapyziałego klechy trzymającego się kurczowo tradycji i kieruje swoje zainteresowania na reklamę, dziennikarstwo, telewizję, globalizm i rocka. Według niego działalność misyjna powinna się zacząć od mediów, czyli środków mających największy wpływ na morale dzisiejszych społeczeństw (praca od podstaw). O swoich doświadczeniach z radiem PULS opowiada Jan Pospieszalski. Trudno się nie zgodzić z księdzem, że komercjalizacja i barbaryzacja środków masowego przekazu odbywa się w zastraszającym tempie, ale z drugiej strony trudno mi sobie wyobrazić stacje nadające tylko pozytywne wiadomości (eliminując niedobre), gdyż to kojarzy mi się z potępnym okresem PRL-u (propaganda sukcesu). Nie można zakładać kagańca mediom w imię najszlachetniejszej nawet utopii, gdyż to oznacza koniec wolności słowa, którą się tak szczytnie, a która jest jaka jest (ten parszywy liberalizm!). Pozostaje raczej kwestia umiaru i moralności dziennikarzy w podawaniu newsów, epatowaniu katastrofami, podniecaniu widza światem kryminalnych afer i brutalnych morderstw. Nie można ukrywać prawdy o świecie w jakim żyjemy to okłamywanie się. Ten problem przenosi się również na sztukę. Byłoby zbyt proste, gdyby dzieła powstawały w myśl encykliki papieskiej „Fides et Ratio” i wszystkie wyrażały kolejno piękno i harmonię świata. Jest to pewna idea – szczytna – ale świat nie jest piękny ani tym bardziej harmonijny. Mnie kojarzy się z sadzawką konfliktów, chaosem ambicji, ruletką pieniądza. Owszem, o te wartości trzeba dbać, ale nie bardzo widzę zastosowanie tej encykliki w praktyce. Malujemy rococowe aniołki? Słuchamy „Arki Noego”? Jak w takim razie wyrazić tragedię w WTC? Chyba nie jako fontannę fiołków...

Książka jest rodzajem katechezy dla ludzi sztuki i mediów. Moim skromnym zdaniem warto ją przeczytać (nawet jeśli ktoś nie zgadza się z poglą-

dami ks. Grzegorza), choćby dlatego, żeby zobaczyć inne spojrzenia na rzeczywistość i porównać je ze swoimi. Działa to w jakiś sposób odświeżająco, trochę prowokująco. Ci, którzy interesują się grupą „T. Love”, mogą przeczytać właściwie spowiedź Muńka, o tym jak się stoczył i w jaki sposób wydobył się z dołka. Pouczające. Jest także poradnik, jak dbać o sponsora – praktyczne.

Grzegorz Ułamek, „pięć okien”, wyd. paganini, Kraków 2002

KSIĄŻKI, KSIĄŻKI...

Z ostatnio wydanych regionalistów warto odnotować „Jasną Górę” autorstwa Antoniego Jackowskiego oraz ojców paulinów Jana Pacha i Jana Stanisława Rudzińskiego. Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego w serii „A to Polska właśnie” (w tej serii ukazały się wcześniej m.in. „Polski Londyn”, „Tysiącletnie dzieje”, „Matejko”, „Galicja”) i jest ona bogato ilustrowanym (219 ilustracji) kompendium wiedzy na temat jasnogórskiego sanktuarium, jego historii, roli fortecznej, architektury i sztuki, znaczenia religijnego i politycznego. Jeden z rozdziałów poświęcono ruchowi pielgrzymkowemu. Pięknie edytorsko wydana książka jest chyba jednym z ciekawszych opracowań na temat klasztoru.

Druga pozycja to II tom „Słownika Encyklopedycznego Regionu Częstochowskiego” (wyd. WSP) spółki Stanisław Podobiński/Bogdan Snoch. Pierwszy tom ukazał się w roku 2000 i każdy kolejny zawiera hasła od A do Z. Ta metoda pozwala autorom na uzupełnianie ich bez ograniczeń edytorskich na zasadzie suplementów. Hasła są dobierane z myślą o programie szkolnym i ewentualnym ich wykorzystaniu na lekcjach poświęconych historii regionu. W przygotowaniu kolejny tom. Tak oto rośnie nam nowa tradycja regionalna!

POP – HOP – JAZZ

Chyba już się przyzwyczaiłem, że w Częstochowie co miesiąc pojawiają się nowe płyty. Dzieje się tak za spr-

wą firmy „Future Hip Hop” związanej z koncernem Universalu. Premierami marca były „Udawanki” grupy „Cudawianki” i „Pijani Powietrzem”. To dwie nowe grupy muzyków grających dotąd w innych kapelach. „Udawanki” zawierają inteligentną muzykę, mocno odbiegającą od tradycyjnego hip hopu i na pewno trudniejszą (między soulem i rapem). Duża w tym zasługa wokalistki – Magdy Ściubidło, dla której słowa pisała m.in. młoda malarka Iwona Kręciwilk. Refleksyjne piosenki, niekiedy zabawne („Zgubiłam klucze”) mogą się podobać szerszej publiczności, niekoniecznie tej do której jest adresowana.

„Pijani Powietrzem” – pomysł Fokusa i Śliwy także wybiega nieco poza ramy hip hopu, ponieważ dodaje eksperymentalnie elementy jungle i drum’n’bass (kombinowana rytmika). Przy nagrywaniu płyty w studiu „Radioaktywni” pomagali chłopcom Rachim z „Paktofoniki” i DJ Haem. Sądząc po muzyce, w Częstochowie bunt młodzieży w przyszerokich spodenkach chyba się już zakończył. Nastąpił czas twórczych poszukiwań.

Inne ciekawe wydarzenia muzyczne to koncerty: w pubie „Beczka” – Mateusza Pospieszalskiego i Wojciecha Waglewskiego (akustycznie) oraz „Rege Polish Inna Style” (projekt Muńka Staszczuka i „Habakuka”); w „Gau-de Mater”: „Big 2” (Bernard Maseli i Krzysztof Ścierański), kwartetu jazzowego w składzie: Piotr Wojtasik, Jacek Kochan, Michael Donata, Erik Vloimans; w filharmonii koncert poświęcony Elvisowi Presleyowi wykonany przez miejscową Orkiestrę Symfoniczną i trzech jazzmanów – Henryka Miśkiewicza, Jana Ptaszyna Wróblewskiego i Macieja Sikałę (w przygotowaniu przeboje Franka Sinatry).

KONTROWERSYJNY PLEBISCYT

Nieoczekiwanie zakończył się plebiscyt zorganizowany przez „Gazetę Wyborczą” na wydarzenie artystyczne i twórcę roku 2001. Zwyciężył bowiem spektakl „Dworzec ZOO” Teatru Tań-



Okladka płyty zespołu „Cudawianki” wg proj. Piotra Wacheckiego

poprzez dobór filmów organizatorzy proponują dyskusję nad europejskością oraz tożsamością kina starego kontynentu, co jest bardzo na czasie przy zbliżającym się nieubłaganie terminie referendum nad przystąpieniem do UE. W kwietniu m.in. francuska „Amelia” i duński „Włoski dla początkujących”.

ŚPIEWY SAKRALNE

XII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” nie odbiegał poziomem, rangą wydarzeń artystycznych i egzotyką od poprzednich. W dniach 1-6 maja melomani mogli posłuchać koncertów muzyki średnio-wiecznej (zespół „Dekameron”), gospels (z Surinamu), cerkiewnej (chóry z Białorusi i Ukrainy), afrykańskiej (zespół z Zambii), utworów Wojciecha Kilara (w Bazylice Jasnogórskiej), Gioacchio Rossiego i Camilli de Rossi, Romualda Twardowskiego, Hectora Berlioz (każdy koncert w innym obiekcie, co umożliwia przy okazji zwiedzanie miasta). Od strony plastycznej swoje fotografie i plakaty zaprezentował, znany z widowisk teatralnych z poprzednich lat, Leszek Mądzik, a obrazy Aleksander Markowski. Gwoździem programu było widowisko plenerowe „Rzecz o Franciszku” (prapremiera) w Archikatedrze pod wezwaniem św. Rodziny, przygotowane przez aktorów z Krakowa i Częstochowy (a także chóry chłopięce, dziewczęce, dziecięce). Reżyserem spektaklu jest Katarzyna Deszcz. Warto zauważyć, że św. Franciszek to jeden z popularniejszych średnio-wiecznych filozofów, którego nauka i biografia nie straciła na aktualności

S.B.

ca Politechniki Częstochowskiej. Podczas wręczania nagród w restauracji „Stacherczak” Piotr Głowacki z BWA wyraził żal, iż głoszący czytelnicy GW, nie zauważyli tak wielkiego wydarzenia, jak otwarcie stałej ekspozycji malarzkiej na Jasnej Górze – drogi krzyżowej Jerzego Dudy Gracza. O poziomie baletu pisaliśmy w jesiennym numerze 36/2001. Widocznie w tym roku zagłosowali studenci...

FILMOSTRADA

Ciekawą oprawę miała premiera filmu „Chopin. Pragnienie miłości” Jerzego Antczaka. 15 marca przed pierwszym seansem Zbigniew Raubo i częstochowscy filharmonicy pod dyrekcją Jerzego Swobody wykonali koncert fortepianowy e-moll op.11. Ciekawe co zobaczymy przed premierą „Pianisty” Romana Polańskiego?

W OKF-ie zorganizowano dwa przeglądy: w marcu cykl „Filmowa Unia Europejska” (m.in. głośna „Pianistka” Michaela Hanekego), w kwietniu II edycję Filmostrady (objazdowy festiwal filmowy). Można było zobaczyć m.in. najnowszy film Woody Allena „Kłątwa skorpion”, „Zbrodnię i karę” Piotra Dumay, „Angelusa” Lecha Majewskiego. Filmostrada umożliwia obejrzenie najciekawszych, często nagradzanych filmów festiwalowych, nierzadko kontrowersyjnych, których raczej nie można zobaczyć w kinach komercyjnych. III objazd Filmostrady rozpocznie się jesienią br. (w repertuarze m.in. „Raj” Toma Tykvera). Trochę to wszystko przypomina walkę kina „reszty świata” z „fabryką” hollywoodzką... „Filmowa Unia Europejska” jest imprezą cykliczną – w każdym miesiącu

Sprostowanie

W poprzednim numerze zamieściliśmy błędną informację na temat okładki płyty grupy „Larifari”. Oczywiście jej autorem nie jest Jacency Dędek lecz Jarosław Dędek. Obydwóch fotografików za pomyłkę przepraszamy.

Krystian Piwowski

Homo Polonicus

fragment powieści przygotowywanej do druku. Wkrótce także w e-czytelni:
www.e-czytelnia.emediapro.com.pl

Jedli żur zadowoleni, że się gładko guwernera pozbyli. Starzec gardził obcokrajowcami, pluł na zamorskie obyczaje. Upadła ojczyzna, bo młodzież naśladować zaczęła wstrętne plugastwa zawarte w rozmaitych antypapieskich, luterskich i kalwińskich książkach de rewolucjonibus. Za te myśli wolne starzec dostojny by ich smażył, ognistym kolcem ciało szarpał, skórę zdzierał! Każdy teraz to Niemca, to Francuza trzyma dla ozdoby i prestiżu. Ten i ów w dużym majątku nawet i kosztownym Włochem sąsiadów w oczy kłuje. Niektóry magnat hoduje Włocha ponad stan. Na co dzień ma ten Włoch tyle roboty, że książki w bibliotece magnata szmatą z kurzu wyciera, a jest tych książek coś z siedem, zabawki kluczem nakręca i naśladuje ptasie głosy, sam będąc podobny do kruka. O ile stary. Bo młody podobny jest do cukrowanej lipcowej wiśni, a nazywają go „dottore” lub „maestro”. Potrafi ten „dottore” ogromnie dużo: zaśpiewa słodkim głosem chłopczyka i na kitarze gra słodko, poprosz tylko, a pod sufit skoczy! Portrety maluje takie, że garbaty karczyl z brodawkami wygląda jak Kupidyn jaki albo i senator. Poemat ułoży i co tylko ładnego zobaczy, to: „amore!” – woła i: „mamma mia!” I sam się w palce całuje!

Gdybyż ci obcokrajowcy rozrywce tylko służyli! Ale oni jednego dnia szepną słowo, drugiego dnia drugie i już szlachcic zupy z gęsiej krwi jeść nie chce! Kontusz każe odwieść, czupryny nie podgala! Myć się chodzi do łaźni! i to dwa razy w tygodniu! Ga-

zety czyta! Nie ma takiego, który by się długo w twardości i surowości obyczaju utrzymał! Tak są ucieszni owi Włosi, takie słodkości prawią i pokazują! Niczemu mądryemu to nie służy. Słodka to trucizna. A znowuż Niemcy spytają: a dlaczego, warum, koń ciągnie drzewiany pług, jak mus blech żelazny?

– A bo wszędy drzewiane ciągną – odpowie szlachcic.

– A czego, warum, wszędy?

– A wszędy.

– Ale warum?

– Dziad ciągnął, i ojciec ciągnął to i ja ciągnę. Synal będzie ciągnął i wnuk pociągnie.

– Warum drzewiany, jak w świecie blech ciągną?

– W świecie może, a u nas drzewiany.

– Aber warum, jak drzewiany ciężej ciągnąć i na stein się rozbija? Warum?

– A bo wszędy! I dziad ciągnął...! Coś się pan tak przypiął, Szmidt?!

– Ich habe Kopfschmerz, main graf.

A na drugi dzień znowu zapyta i jak zmora dusić będzie, nie puści, póki szlachcic nie sprowadzi żelaznego pługa. Jakby się urodził, żeby męczyć. Przeklina szlachcic, że sobie Niemca sprowadził, na Włocha by zamienił, Włoch jak kurz, z wiatrem polecą, ale Niemca się nie pozbędziesz, jak muchy ręki uniknie i znowu brzęczy koło nosa.

Z Francuzami rzecz inna. Francuz bałamuci od rana do nocy. I samego szlachcica zbałamuci, jak młody i ładny. Francuz powie szlachcicowi, że wygląd ma królewski, szlachciance, że piękna jak morska syrena, szlachcicowi, że hojny i sprawiedliwy jak król Salomon i nie obejrzy się szlachcic, jak go Francuz z pieniędzy oskubie! Żeby to jeszcze kradł, rzecz normalna, ale szlachcic sam te pieniądze Francuzowi wciskał przez rok! Szlachciance szepnie w ogrodzie, że głos ma jak chiński słowik i szlachcianka fortepian sprowadzi. Koncerty urządzać będzie, a arie śpiewać! Francuz będzie brzdą-

kał na fortepianie, bo jakoś każdy z nich zna się na tej robocie! Miesiąc nie minie, jak będzie i szlachciankę rypał, i córki rypał w panińskich pokojach. Samego szlachcica też uraczy kutasem! Już się ostatecznie wkupi w łaski i żyć bez niego nie będą mogli! Przyjdzie dzień, kiedy podróżny przejeżdżając mimo zapyta: „Francuz to u szlachcica, czy szlachcic u Francuza służy?” Ujrzy człeka mizernego, z brzuchem do krzyża przylepionym i zdziwi się: „A cóż to za pachol? To szlachcic, pan okolicznych ziem. A ten rżący jak koń, co chustką słodkie usta ociera i łaskawe gesty wyczynia? To guwerner córek szlachcica?”

Starzec męczył kawał wędzonej skóry.

– Kiedy zdechniesz? – spytał xiążę teścia. Starzec nic nie odrzekł. Gryzł skórę. Jest głuchy na słowa xięcia. W ogóle jest przygłuchy. W kwiecie wieku będąc, w roku 1812, z godną najwyższej pochwały wytrzymałością odwiedzał ciągnące za wojskiem burdele. Był już chory opuszczając w randze porucznika rozbitą armię cesarza. Wrócił w rodzinne strony o żebraczym kiju. Wciąż gorzała w nim namiętność do kart i kobiet. Stracił wiele z tego, co nakradł i złupił podczas kampanii. Należał jednak do tego rodzaju szczęśliwych ludzi, że cokolwiek zrobił – dobrego, czy złego – obracało się na jego korzyść. Przekupiony medyk wystawił odpowiednie papiery. Jakaś mętna jak kwas z ogórków komisja przyznała mu pokaźną rentę kombatancką. Koło fortuny obróciło się i choć oczy ślepy, słuch tępał, wypadały zęby, robak toczył mózg, rodzina przeklęła, to skórzane mieszki pęczniały. Mądrość przyszła z wiekiem. Ale bo też i kutas nie służył i ręka drżała. Siwy włos roztropności przykrył głowę. Rodzina przebaczyła. Poszedł Bukowicki po rozum do głowy i przeklął synów łasych na pieniądze, wydziedziczył i córce cały majątek obiecał w zamian za dożywocie. Ale szybko umierać ani mu się śniło!

– Żebyś zdechł – powtórzył xiążę głośniej.

– Dziosek – odparł niestrudzony starzec.

– Sam idź do dyabła, świntuchu! – xiążę pogroził palcem. – Znamy cię. Twoja córka taka kurwa. Płacze po gachu. Wstyd mi przynosi. Żalobę przywdziała jak po prawowitym mężu. Jakes ją wychował? Ile mam zgryzot! Jeszcze tę jedną mi przydała! Chłopkowie będą gadać, choć przykazałem pyski trzymać. Byłoby w naszym interesie dowiedzieć się, kto go zdzielił w łeb. Wiesz coś ojciec na ten temat?

– Nie.

– Szwendasz się po polach, to możeś co przewąchał?

– Nie.

– Łzesz! – xiążę machnął ręką. Otarł usta i wąsiki. – Łzesz, bo masz plugawą duszę.

Resztę dnia przepędził xiążę na rozmyślaniach. Długo łąził wokół piwnicy. Wszedł z ogarkiem do środka. Znalazł się pośród wiszących wędzonek. Zrobiło mu się zimno i nieprzyjemnie, więc szybko stamtąd wyszedł. Źle się poczuł. Przeszedł wzdłuż oborę, przyglądając się kobietom zajęтым wieczornym udojem. Pomacał cycki jednej i drugiej, ale nie poczuł się od tego lepiej. Rozbolała go głowa. Poszedł nad rzekę i tam się rozplakał jak dziecko, głęboko, głośno, bez granic. Chudym ciałem zwiniętym na mokrej łasze wstrząsały spazmy. Coś tam wykrzykiwał, cisnął pięści do oczu, do nosa, ocierał smarki kułakiem. Jęczał, że go nie kochają. Czyjaś ciepła dłoń dotknęła jego głowy. Szarpnął się. Usiadł. Dłoń łagodnie powróciła na spoconą głowę xiącia.

– Na co to? Na co? – roześmiała się Bibiana. Kucnęła przy nim. Przysunęła się bliżej, on przysunął się do niej, przycisnęła jego głowę do piersi pachnących mlekiem. Nowe łzy popłynęły z wypukłych oczu xiącia. Wstała i pociągnęła go za sobą.

– Chodź – powiedziała. Zamknęła jego dłoń w swojej. Przeszli rzekę i ruszyli w stronę niebieszcącej się na horyzoncie linii lasu, ona wysoka, smukła, jasnowłosa, on niski, czernia-

wy, kudłaty, na krzywych nogach, w zniszczonym surducie piaskowego koloru i postrzępionym słomkowym kapeluszu. Płynęła Bibiana pośród traw i ostów unosząc ramiona ponad odurzającymi falami zapachów i barw. Uśmiechała się do swojego wylkniętego towarzysza. Czasem jej naga ręka zatoczyła koło zakreślając czysty świat ich obojga, z ptakiem, słońcem, chmurką i skrawkiem błękitu. Xiążę kiwał głową. Roześmiał się parokrotnie i sam toczył rękami małe koła. Krótco potem, jak stali się małymi punktami w bezmiarze pól, Bibiana zdjęła spódnice i bluzkę, ciężka i słodka ułożyła się w żółtych jaskrach. Śmiała się z dziurawych galotków xiącia. Kazała mu się całkiem rozebrać. Łaskotała źdźbłem trawy kogutka xiącia. Stanisławczyk miał kogutka okazałych rozmiarów. Ho! Ho! Mężczyźnie innego pokroju, beztróskiemu lekkoduchowi, takiemu choćby Słupcynowi, który lubi pokazywać pierścienie, okazały klejnot otwiera wiele drzwi. Xiąciu nie przyszłoby to do głowy. Zresztą nie było potrzeby, siedział na wsi. Nie prowadził w mieście szczególnych interesów. Bank czasem odwiedził. Słupcyn raz czy dwa pokazywał mu w kawiarni u Żorża jakieś stare pokraki, żeby xiążę poromansował z nimi, bo mężowie tych bab mają weksle Słupcyna za długie karciane. Takie rzeczy. Nie podobały się xiąciu te baby. Gniewał się na niego Słupcyn, bo musiał spłacić i weksle, i procenty. Źli ludzie nazwali go rajfurem i xiążę nazwał go rajfurem. Mąż jednej z bab, wielki Słupcyna przyjaciel, poczuł się urażony na honorze i chciał się z Rosjaninem strzelać, ale mu jacyś w nocy, jak z klubu wracał, po łbie nakładli i po krzyżu, i rękę prawą przetrącili. Konie ukradli i powóz. Złodzieje. Ale że po wyzdrowieniu wrócił do przyjaźni ze Słupcynem, więc przestali o tym w mieście mówić. W końcu i xiążę wrócił do przyjaźni ze Słupcynem. Taką miał xiążę przygodę z kobietami.

Czego tam w soczystej trawie tego wieczoru kogutek xiącia nie doko-

nał, trudno wypowiedzieć! Przestał się xiążę bać i ronić łzy. Ciało Bibiany było jak te łąki, jak te pola: niezmiernie, nienasycone, bujne i pełne niepokromionego życia, przywracało siły wyczerpanemu zgryzotami xiąciu. Przy Bibianie i xiążę robił się nienasycony, bujny i pełen życia. Oplatała ciasno jego ciało ramionami i nogami, a lekkimi pchnięciami stóp w pośladki wprawiała zziąjanego kochanka w ruch. Mijały godziny, wieczór pełen złota przeszedł w zmrok, ten w ciemność z żółtym półksiężycem. Przesuwały się ciche nocne chmury. Xiążę odpoczywał na wznak, z głową na nogach Bibiany. Dziewczyna uśmiechała się, mruczała jak kotka, to znów jak mądra lwica nagradzała xiącia pieszczotą lub karciała trzepnięciem w ramię, w głowę, w uspiętego kogutka, gdzie popadnie. Xiążę z jednakowym zadowoleniem przyjmował nagrody i kary. Ona ni z tego, ni z owego opowiadała mu krwawe historie o jakichś czystych dziewicach i zbójcach, o skarbach ukrytych w podziemiu, albo znowu o dziewicy-sierocie pasącej gąski i o dyable kusicielu, że usłuchała dyabła i poszła do jakowejś jaskini, a tam dyabeł zhańbił dziewicę i nic jej nie dał! A znowuż inną dziewicę-sierotę zbójcy zagarnęli i kazali jej usługiwać, i do burdelu sprzedali.

Słuchał xiążę i wtrącał:

– I tobie złota dam. Albo: – Do burdelu ciebie nie sprzedam.

Tego wieczoru rzekła mu, że wie, kto zabił mesje.

– Kto? – zapytał xiążę.

– Kapusta – rzekła, głowę spuściła i śmiać się przestała. – On bierze, co zechce.

– Kapusta! – powtórzył xiążę. Zerwał się i odleciał w noc. Wykrzykiwał w trawach przekleństwa, machał rękami i pluł. Biegał wokół Bibiany i przeklinał ją za niewierność. Począł w sercu hodować nienawiść dla Kapusty.

Ochłonawszy pociągnął dziewczkę na język. Co mu przyjdzie, że będzie wyklinał naród chłopski? Nie zmieni narodu chłopskiego■

FOTOGRAFIA NARODZIŁA SIĘ W XIX WIEKU jako dziecko techniki i mieszczaństwa. Fotografia cyfrowa jest swoistą komputerową hybrydą zapisu obrazu, która jednak zdominowała aktualnie wszelkie metody rejestracji i wizualizacji rzeczywistości zarówno tej realnej, jak i wirtualnej. Z chwilą zastosowania komputera do działań artystycznych dokonał się niezwykle przełom w sztuce obrazowania, polegający głównie na zatarcu granicy pomiędzy rzeczywistością a iluzją. Obraz fotograficzny zaczął funkcjonować w nowej przestrzeni artystycznej, którą dość nieoczekiwanie otworzył przed nim produkt technologiczny jakim jest maszyna komputerowa. Technologia i sztuka – te dwie pozornie odległe od siebie dziedziny – zaczęły budować ścisłe związki kulturotwórcze niezwykle istotne dla funkcjonowania współczesnego człowieka w sferze artystycznej i w życiu codziennym. Artyści oswojeni już z nowościami technologicznymi niezwykle chętnie sięgają po te cyfrowe nowości, znajdując w nich swoistą stymulację dla swojej twórczości. Pikselizacja obrazu fotograficznego nadała mu charakterystyczną cechę, jaką jest łatwość manipulowania rzeczywistością, czyli podważała coś, do czego w fotografii byliśmy przyzwyczajeni – jej wiarygodność. Spowodowało to zaciemnienie wzorca wiarygodności, co musiało wywołać określony zmierzch niepodważalnych dotąd wartości tak w sztuce, jak i w życiu codziennym. Precyzowanie kryteriów oceny obrazów elektronicznych jest jeszcze w dużym stopniu niedoskonałe, jawi się jako proces ciągły i wymaga wypracowania nowych standardów artystycznych, ewoluujących w sposób tak szybki, jak szybko zmienia się technologia i świadomość twórców korzystających z cyfrowych technologii obrazowania. Fotografie cyfrowe stały się plonem inteligentnego dialogu pomiędzy nieograniczoną fantazją twórcy a wyrafinowaną współczesną technologią. Kreatywność tego dialogu jest bezsprzeczna i stanowi precyzowalną wartość współczesnej sztuki.

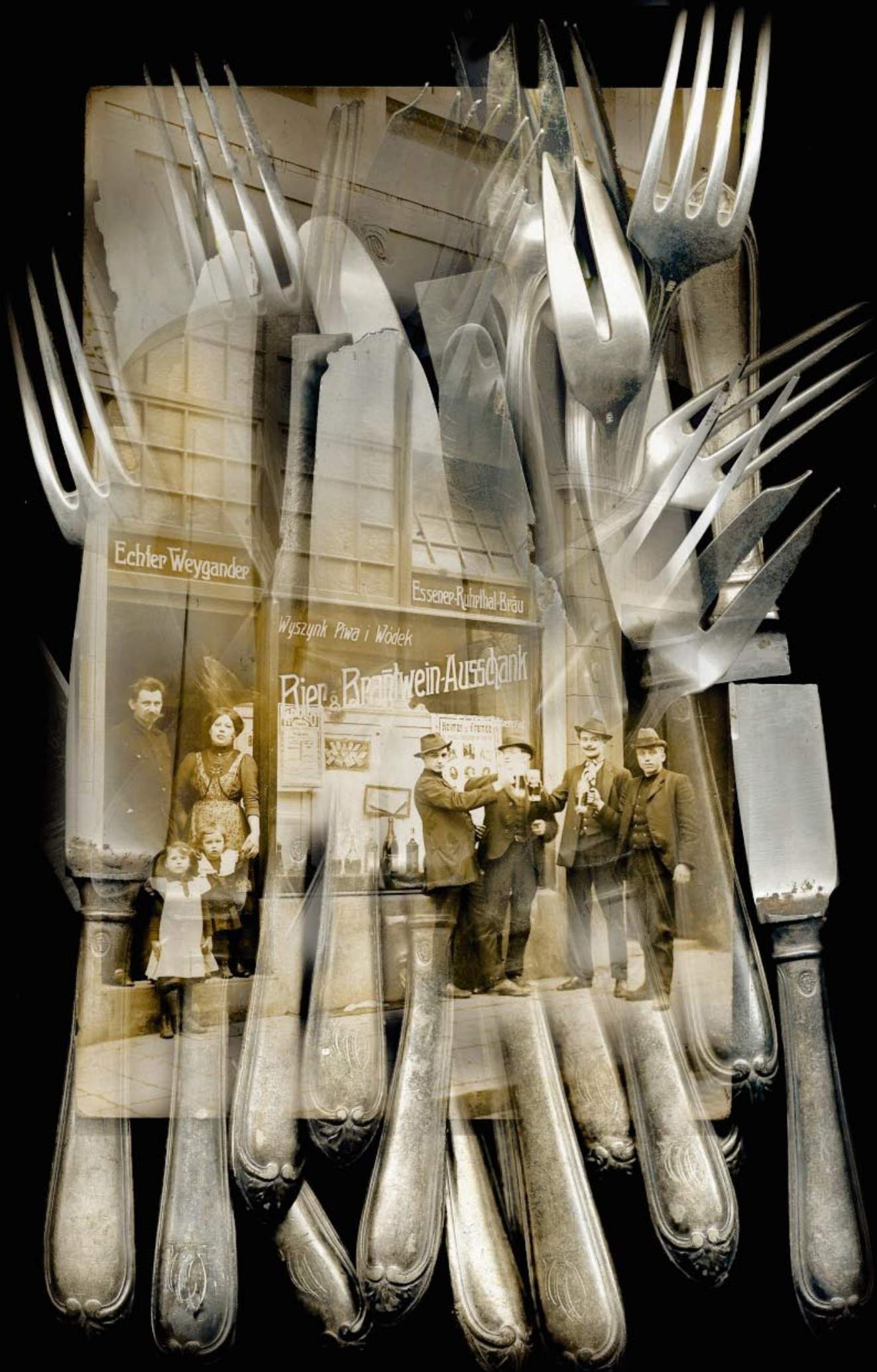
CYBERFOTO to Ogólnopolski Konkurs Fotografii Cyfrowej zorganizowany już po raz piąty przez Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie. Współorganizatorami tej imprezy są Centrum Animacji Kultury w Warszawie i Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski. Celem konkursu jest prezentacja możliwości kreacji obrazu fotograficznego przez zastosowanie technologii cyfrowych. To największy i zarazem najstarszy tego typu konkurs w Polsce. Na ostat-

nią edycję wpłynęło ponad 300 prac 65 autorów z całej Polski, a także z zagranicy. Znakomita większość fotografii świadczy o coraz większej świadomości artystycznej fotografów, w twórczy sposób wykorzystujących nowe, coraz przyjaźniejsze elektroniczne medium. Oniryczna aura tych cyfrowych obrazów sprawia, że żyjąc swoim własnym, fantastycznym życiem, na długo zapadają w pamięć oglądającego.

Jak co roku do jury Konkursu udało się zaprosić znanych krytyków sztuki i artystów fotografików. Prace oceniali: Krzysztof Jurecki – kierownik Działu Fotografii Muzeum Sztuki w Łodzi, Zbigniew Tomaszczuk – artysta fotografik, Redaktor Naczelny „Kwartalnika Fotografia”, Sławomir Jodłowski – artysta fotografik, instruktor fotografii Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie, a zarazem pomysłodawca i komisarz Konkursu CYBERFOTO. Najwyżej oceniono prace Piotra Zabłockiego z Gdańska – za swoisty wyrafinowany montaż, stanowiący połączenie ducha dawnej fotografii z zimną aurą współczesnej technologii. Cyfrowość nagrodzonych fotografii jest dość mocno zawoalowana, jednak po głębszej analizie prac dostrzegamy subtelność manipulację zmierzającą w stronę iluzyjności narracji tego zestawu. Inną poetykę prezentuje laureatka II nagrody, częstochowianka Ewa Burdzicka. Grafizacja obrazu fotograficznego, oryginalna kolorystyka, wytworzenie klimatu iluzyjności czasu i przestrzeni – wszystko to tchnęło w obrazy nastroj oniryczności i fantastyki, zamknięty w subtelnej, charakterystycznej dla artystki estetyce. Nagrodzono także prace Tomasza Lipki z Wrocławia, a wyróżnienia otrzymali: Ewa Przytuła z Suwałk, Aleksandra Kraus z Nysy i Maciej Kuszał z Częstochowy.

Wprawdzie udało się z ogromnym trudem przeprowadzić już pięć edycji Konkursu, których efektem jest wypracowanie należytej rangi i pozycji tej ważnej, kulturotwórczej imprezy, jednak kolejne edycje stoją pod dużym znakiem zapytania. Przeznaczenie tak relatywnie minimalnych środków finansowych z budżetu Regionalnego Ośrodka Kultury na największą w kraju Ogólnopolską imprezę o wypracowanym prestiżu automatycznie obniżyło jej rozmach i podcięło nieco skrzydła organizatorom. Wydaje się to krzywdzące dla szerokiego grona odbiorców współczesnej kreatywnej sztuki obrazowania, która cieszy się dużą popularnością zarówno wśród młodych ludzi o jeszcze niewykształconym sposobie estetyzacji świata, jak i koneserów■

Sławomir Jodłowski



Piotr Zabłocki – „Sens czasu 4”. Na poprzedniej stronie „Sens czasu 1”. I nagroda na CYBERFOTO, Częstochowa 2002.

